BIBLIOTEKA UMCS LUBLIN

11-12 ZIEMIA I PIEŚŃ

HETMAN Z BONDYRZA
Maciej Podgórski 4-5-6

PAMIĘTNIK BIAŁOSTOCKI
Ireneusz J. Kamiński 3

WIERSZE
Ryszard Milczewski-Bruno 6

ROK ZAŁOŻENIA 1933

# Kamena

LUBLIN 28 XII 1975 NR 26 (590) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 3 ZŁ

# DON JUAN OSKARŻA

Maria Bechczyc-Rudnicka

SZCZERE gratulacje należą się Zbigniewowi Sztejmanowi, który działając na chwiejnym stanowisku p. o. dyrektora Teatru im. J. Osterwy już zdążył podjąć szczęśliwą decyzję wystawienia Molierowego „Don Juan w reżyserii Jerzego Rakowieckiego. Dzięki temu lubelska scena dramatyczna może poszczycić się jedną z najbardziej klarownych inscenizacji arcydzielnej komedii, stosunkowo rzadko granej z powodu jej rzekomej „zagadkowości".

Nie rozporządzam w danej chwili dokumentacją pozwalającą mi stwierdzić, jak się rzeczy miały z ową najodważniejszą sztuką Moliera na polskich scenach międzywojennych, wiem natomiast, co za tłumy ściągał na widownię warszawskiego Teatru Narodowego w 1924 r. „Don Juan" Zorilli, nietęgi poemat dziewiętnastowiecznego pisarza hiszpańskiego, cieszącego się u swych rodaków nadmierną popularnością. Przysposobił utwór dla sceny znany poeta, Stanisław Miłaszewski, który wprawdzie uskrzydlił adaptację swoim talentem, niemniej, wierny intencjom Hiszpana, sprowadził cały problem do zbawienia rozpustnika i zabójcy — przez wielką miłość tudzież miłosierdzie boże. Abstrahując jednak od prymitywizmu treści, muszę przyznać, iż spektakl był fascynujący: w zachwyt wprawiała scenografia Drabika, a zwłaszcza gra Józefa Węgrzyna.

Molier — Don Juan. Na pierwszym planie: Piotr Wysocki (Don Juan), Piotr Suchora (Sganarel) i Kazimierz Siedlecki (Komandor). Fot. KAW (J. Wielopolski)

Wygląda na to, że o ile chodzi o „Don Juana", Zorilla wygrał wtedy w konkurencji z Molierem.

Więcej szczęścia ma molierowski „Don Juan" w Polsce Ludowej. Chociaż też jeszcze nie za dużo, bo nadal wlecze się za nim reputacja trudnego dziecka Moliera, aczkolwiek już w r. 1950 Bohdan Korzeniewski dołożył niemało starań, by odcyfrować „sekrety" tej komedii, pozornie nietypowej dla autora „Świętoszka" wobec wprowadzenia do niej widma i poczynań Komandora. B. Korzeniewski zamieścił w ówczesnym miesięczniku „Teatr" obszerny esej, komentując swoją inscenizację w Teatrze Polskim. Żałuję ogromnie, że nie miałam sposobności obejrzenia jego spektaklu, oczyszczał on prawdopodobnie „Don Juana" od zafałszowań, dogodnych dla „czynników miarodajnych" różnych epok. Nie widziałam też, niestety, inscenizacji Hanuszkiewicza.

W ogóle tak się złożyło, iż po raz pierwszy poznałam tę arcykomedię we wcieleniu scenicznym Vilara, kiedy gościł w Polsce, bodaj w r. 1956: Czas zatarł w pamięci sporo detali tego przedstawienia, pozostał w niej jednak niewątpliwy fakt, że Vilar grał liście Molierowego, dojrzałego esprit fort, wciągającego w dyskurs, nieprzejednanego w „szarganiu świętości". No i poza tym, jak we wszystkich pokazanych nam pozycjach

Dokończenie na str. 4—5

# DUCHY w Londynie

Wiesław Horabik

WĄSKIE, piętrowe domki z półokrągłymi wycięciami okien, małym ogródkiem z frontu i brudnym podwórkiem z tyłu, po którym wiatr gania z klekotem puszki od piwa. Domki stare i pełne niewygód, z obowiązku pamiętające „złoty wiek" królowej Wictorii. Niedziele puste i samotne, jak w najmniejszym miasteczku Polski. Wielkie świecące magazyny z błyskotliwymi towarami i przylepionym do boku brudnym sklepikiem z frytkami i rybą. Za luksus poczytują tu podwójne szyby w oknach na zimę, a kaloryfery niechętnie wypierają tradycyjny kominek, przy którym ciepło ogrzewa twarz i ręce, a chłód kąsa w plecy. Przy małych uliczkach ogromne usypiska śmieci, przysłonięte giętą stalową blachą. Trzydzieści jeden dzielnic Londynu, każda inna i każda w jakiś sposób taka sama. Wszystko to nieodmiennie wiekowe, jak jajka i bekon i „Boże chroń Królową/Króla". Londyn — niezmienna pozornie stolica, pozornie niezmiennej Anglii. A jednak ta niezmienność podlega już przemianom, jakim nie podlegała przez wieki.

Dokończenie na str. 4

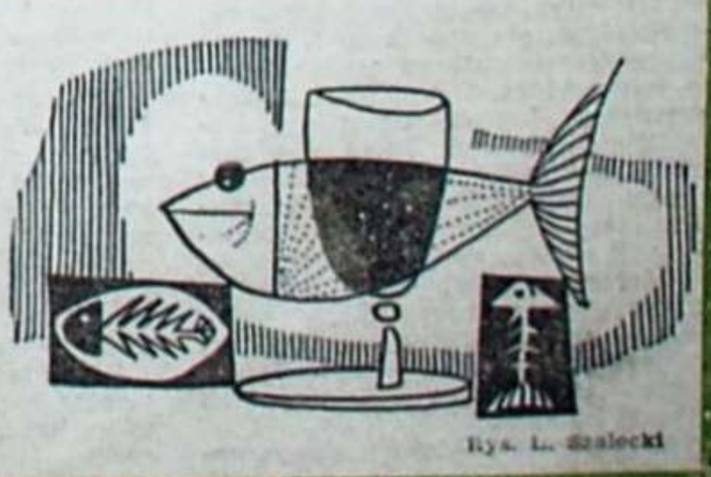

Rys. L. Szalecki

## Po VII Zjeździe PZPR

# Najważniejszy cel: dobro narodu

ZAKOŃCZYŁ obrady VII Zjazd PZPR. Zjazd jednomyślnie przyjął uchwałę — **O dalszy dynamiczny rozwój budownictwa socjalistycznego — o wyższą jakość pracy i warunków życia narodu** oraz rezolucję — **O dalszy rozwój sił socjalizmu i utrwalenie pokoju — o dalsze umocnienie międzynarodowej pozycji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.** Zjazd dokonał wyboru najwyższych władz partyjnych. Na pierwszym plenarnym posiedzeniu Komitetu Centralnego dokonano wyboru Biura Politycznego i Sekretariatu KC. **Funkcję I Sekretarza KC jednomyślnie powierzono Edwardowi Gierkowi.**

Dziękując za okazane mu zaufanie, Edward Gierek podkreślił w przemówieniu końcowym, że program, zawarty w Wytycznych KC, został wzbogacony w dyskusji przedzjazdowej i w toku obrad Zjazdu o liczne wnioski i propozycje. **„Wszystkie one zostaną rozważone i wykorzystane w pracy państwowej i partyjnej. Biuro Polityczne i Sekretariat KC uważają za swój obowiązek, aby nic z tego cennego dorobku nie uronić".**

**„Partia nasza** — mówił I Sekretarz KC — **służy narodowi, jego dobro — to nasz najważniejszy cel. Z myślą o tym, w głębokim poczuciu tej powinności nakreśliliśmy program rozwoju naszego kraju w następnym pięcioleciu. Adresujemy ten program do całego narodu, do wszystkich Polek i Polaków".**

**„Idziemy — Drodzy Rodacy — drogą dynamicznego, socjalistycznego rozwoju naszej ojczyzny. Na tej drodze przebudowaliśmy nasz kraj, stworzyliśmy nowy jego potencjał, nowe warunki życia. Jesteśmy dumni z naszego wspólnego dorobku, ze wszystkiego, co osiągnęliśmy w gospodarce, oświacie, kulturze — we wszystkich dziedzinach. W tych sukcesach widzimy — i zawsze widzieć powinniśmy — nie powód do samozadowolenia, lecz budujące optymizm potwierdzenie wielkich możliwości twórczych naszego narodu i punkt wyjścia do coraz lepszej pracy.**

**Główne źródło naszej siły — to zespolenie socjalistycznych ideałów z gorącym patriotyzmem narodu polskiego. To zespolenie decydować będzie o naszym marszu naprzód — ku nowym horyzontom, ku nowym osiągnięciom.**

**Teraźniejszość i przyszłość Ojczyzny jest w naszych rękach, Drodzy Rodacy. Zjednoczeni wspólnotą myśli i czynu niezłomnie i wytrwale budujmy dobrobyt naszego społeczeństwa, coraz lepsze warunki rozwoju dla nowych pokoleń, budujmy siłę socjalistycznej Polski.**

**Z tą myślą przewodnią, z tym wezwaniem przystępujemy do realizacji uchwał VII Zjazdu".**

• • •

VII Zjazd był bardzo owocny. W dyskusji plenarnej i w zespołach wypowiedziało się 886 delegatów. Do protokołu przekazało swoje wypowiedzi 690 delegatów. Codzienna prasa obszernie informowała o przebiegu obrad, drukowała wygłoszone przemówienia, bądź ich streszczenia.

Niezaprzeczalnym faktem jest, że dzisiaj, mając za sobą imponujący dorobek ostatniego pięciolecia, można było swobodniej dyskutować nie o programie — jak to było na VI Zjeździe — wyrównywania nawarstwionych dysproporcji, ale o kontynuacji ofensywnej polityki społeczno-gospo-

## OD HAMBURGA DO MONACHIUM (VI)

# Pod skałą Lorelei

Marek Adam Jaworski

SOBOTĘ, 20 września, moi gospodarze z Inter Nationes zaprojektowali turystycznie: właśnie w okolicach Bonn odbywało się święto winobrania. Wyjechaliśmy samochodem. Obok mnie, gościa z Polski, zasiadł inny gość — doktor praw, pani Felicitas Klimpel. Nie było w tym nic dziwnego, ostatecznie do RFN przybywają goście z całego świata. To przypadkowe połączenie początkowo mnie ucieszyło, później rozbawiło, a jeszcze później wprowadziło w stan pewnego rozdrażnienia, którego nie byłem w stanie ukryć. Otóż pani Klimpel przyjechała z Chile. W trakcie rozmowy okazało się, że ta sprawiająca miłe wrażenie kobieta jest zdecydowaną zwolenniczką rządów junty chilijskiej. Nie mogliśmy się porozumieć bezpośrednio, ponieważ p. Klimpel w zasadzie znała tylko hiszpański, sporo pracy miał więc tłumacz, młody chłopak, syn dyplomaty zachodnioniemieckiego, który przez pewien czas przebywał z ojcem w Chile. Zapewne pierwszy raz w życiu znalazł się w tak niewdzięcznej roli, choć wywiązywał się z niej niezgorzej, traktując ją chwilami z humorem. I może ten humor rozładował w końcu sytuację, bo pogodzenie dwóch krańcowych stanowisk nie wchodziło w rachubę. Przy okazji okazało się, że p. Klimpel wprawdzie sama mieszka w Santiago, ale jej ojciec, Niemiec z pochodzenia, urodził się w Poznaniu, bodaj przy końcu ub. wieku. Sytuacji to w niczym nie zmieniło, ale mogło zmienić sam temat rozmowy.

O samym święcie winobrania, niestety, zbyt wiele napisać nie mogę. Z okna samochodu oglądałem schludne miasteczka, przybrane różnokolorowymi flagami. W jednym z takich miasteczek zatrzymaliśmy się oczywiście po to, by zaraz należć się w winiarni. Było południe, ale obecne tu towarzystwo już dobrze miało w czubie. Zbiorowy śpiew, tańce, a na stołach znakomite reńskie wina po 10 marek za butelkę. Przedstawiciel Inter Nationes szybko zamówił dwie butelki i na nasz stolik. Dna w nich pojawiły się szybko, a my zmieniliśmy i miejscowość i lokal na bardziej reprezentacyjny. Tu żarcie było przednie, ale rachunku nie pozwolono mi oglądać. Po naszym tłumaczu poznawało się ojcowską szkołę dyplomatyczną, choć, oczywiście, nie płacił z własnej kieszeni.

A swoją drogą chciałoby się tu pobyć dłużej, nie kilka godzin, nie dzień. Okolice nadreńskie są przeurocze, nic dziwnego, że w ciągu wieków te tereny przechodziły z rąk do rąk...

• • •

Urodę doliny Renu jeszcze lepiej doceniłem w dniu następnym, kiedy odbyłem piękną podróż statkiem z Koblencji do Moguncji. Nie obyło się bez drobnej przygody. Frau Schulenburg ulokowała mnie w innym, osobowym pociągu, odchodzącym z Bonn do Koblencji pół godziny wcześniej niż ten, którym — według wcześniej opracowanego programu — miałem jechać. Uczciwie mówiąc, nie chciało mi się też czekać na dworcu. No i wpadłem. Pociąg osobowy wlókł się jak ciuchcia, ten „mój niedoszły" minął go w drodze, ostatecznie zjawiłem się w Koblencji równo w tym samym czasie, w

którym z przystani odbijał statek. Kiedy taksówka dowiozła mnie do dworca rzecznego, mogłem mu tylko pomachać ręką na pożegnanie.

Zapytałem w okienku z napisem „Informacja", kiedy będzie następny. Dokładnie obejrzano mój bilet (kosztował bodaj 32 marki) i oznajmiono, abym się nie martwił. O 11.03, a więc za niecałą godzinę, zjawi się wodolot do St. Goar. Przybędzie on na miejsce już o 11.38 i znacznie wyprzedzi „mój" statek. W St. Goar będę jeszcze na niego czekał ponad godzinę.

Był więc czas na wypicie piwa na tarasie małej restauracji, przełknięcie kilku kanapek i krótką rozmowę z kelnerem — gastarbeiterem z Włoch, który tu przybył nie dla przyjemności.

Wodolot zjawił się punktualnie. Jak się zorientowałem z rozkładu jazdy, o 9.00 opuścił on Kolonię, o 9.40 był w Bonn. W gruncie rzeczy niepotrzebnie więc wlokłem się pociągiem do Koblencji, skoro mogłem doń wsiąść już w Bonn.

Pasażerowie częściowo się wymienili, ale na zbytni tłok nikt nie narzekał. Postałem trochę na pomoście, wodolot jednak mknął szybko, a silny wiatr też dawał się we znaki. Krajobraz zmieniał się błyskawicznie, nawet fotografować było niełatwo. A niezliczone zamki czy ich ruiny aż prosiły się o uwiecznienie...

O dziwo, nie królował tu język niemiecki. Wśród turystów przeważali Holendrzy, często dość dziwnie ubrani.

Gdzieś między Braubach i Boppard minęliśmy statek, ten, na którego pokład nie zdążyłem w Koblencji. Jakże majestatycznie, jakże wolno płynął on w porównaniu z wodolotem!

35 minut upłynęło szybko. Oto już St. Goar — koniec pierwszego etapu podróży.

Siedzę na ławce i patrzę na Ren. „Ojciec Ren" („Vater Ren") — tak mówią o rzece Niemcy. Wiele już rzek widziałem w życiu, ale żadna z nich nie przypomina mi Renu. Ren jest przepiękny, trudny do opisania. Nie dziwię się tym niezliczonym turystom, którzy ściągają tu ze wszystkich stron świata. A kiedy już na „moim" statku płynę pod 133 metrową skałą Lorelei, rozumiem zachwyt znakomitego poety niemieckiego Heinricha Heinego. Rusałka Lorelei (czy Lore Ley?) miała z tej skały skoczyć w nurt rzeki, by zachować wieczną pamięć o narodzie niemieckim. Heine za panowania Hitlera był na indeksie. Ostatecznie można było wówczas zatajać nazwisko autora, ale trudno było wymazać z pamięci popularny utwór. Heinowska ballada stała się wówczas balladą... nieznanego autora!

Po obu stronach Renu ciągną się długie pasma winnic. Patrząc ze statku widzi się trzepoczącą w słońcu niebieskość. Tak, niebieskość! Dopiero pożyczona od siedzącego przy stoliku Niemca lornetka wyjaśniła mi tę dość niezwykłą tajemnicę. Nad winnicami zawiesza się na drutach niebieskie wstążeczki z folii. Wiatr stale nimi porusza i odstrasza stada ptaków. Swoiste strachy na wróble! Dalibóg, nie wiem jednak, dlaczego właśnie taki kolor ma najlepiej spełnić swoje zadanie...

Winnice, skały, zamki, czy ruiny zamków... Każdy z nich owiany legendą sięgającą czasów średniowiecza, a niekiedy i czasów rzymskich.

Jeszcze jedna przesiadka, ale już planowa. I o godzinie 17.35 cel podróży — Moguncja, stolica kraju związkowego — Nadrenii Palatynat. Tu ma czekać na mnie kolejna opiekunka z ramienia Inter Nationes.

Jest. Stoi obok pomostu z białą kartką papieru, na której moje imiona i nazwisko. Prowadzi mnie do blisko położonego hotelu Hiltona i zaraz umawia się na kolację. „Gdzie pan woli? W hotelu czy na mieście?" — pyta najczystszą polszczyzną. „Oczywiście, że na mieście". Tyle słyszałem o Moguncji...

Właśnie? Co słyszałem? Jeden z przewodników niemieckich nazywa ją „symbolem znikomości świata". Podobno rzadko można spotkać na świecie miasto, które w swej wielowiekowej historii doznało tylu zniszczeń. Polskie miasta nie są tak stare, jak Moguncja, która w swym pierwotnym kształcie miała powstać już w 38 r. p.n.e. jako obóz warowny Rzymian, ale jeśli chodzi o zniszczenia... Lepiej się nie licytujmy!

Niemniej faktem jest, że w IX i w XVII wieku przeszedł tędy huragan, że pierwsza i druga wojna światowa też nie były dla miasta zbyt łaskawe. Ocenia się, że w 1945 roku, jak tu się mówi — godzinie 00, 46 proc. mieszkań było całkowicie, a 47,3 proc. częściowo zniszczonych. Gdy 22 marca 1945 roku amerykańskie czołgi wjechały do Moguncji, wszędzie wznosiły się góry gruzów, poprzecinane ścieżkami dla

darczej. Bez przesady — jak to powiedział jeden z dyskutantów — możemy powiedzieć, że to, co zostanie przez nas dokonane do roku 1980, w zasadniczy sposób określi kształt naszej gospodarki na początku XXI wieku. Będzie to gospodarka nowoczesna, zdolna do szybkiego przyswajania sobie postępu, który dokonuje się na całym świecie, ale także zdolna ten postęp tworzyć i szeroko stosować.

Wkraczamy w rok 1976, ale już myślimy o początkach przyszłego wieku. Ta perspektywa, nie tylko w myśleniu, ale i w działaniu ma głęboką wymowę.

Do problematyki Zjazdu będziemy niejednokrotnie wracać w naszych publikacjach, ukazując wysiłek, popularyzując doświadczenia ludzi pracy. Zajmiemy się zwłaszcza problematyką kulturalną.

**Przed laty** — mówił na Zjeździe Zbigniew Załuski — **skala potrzeb kulturalnych społeczeństwa mierzona była w tysiącach. Dzisiaj mierzy się ona w milionach — widzów, słuchaczy, a także czytelników. Postulat naszej partii — nowa jakość warunków życia — jest dla świata kultury nakazem najwyższym.**

Dodajmy — dla prasy również.

---

„trampów". Brakowało światła, wody, gazu. Liczba mieszkańców spadła z 122 tysięcy w 1939 roku do 52 tysięcy w 1945 roku. Współczuję. Ale przecież nie JA tę z najtragiczniejszych wojen wywołałem...

W 1945 roku Ren stał się tym miejscu granicą dwóch stref okupacyjnych — francuskiej i amerykańskiej. Większa część miasta znalazła się w granicach strefy francuskiej. Zbyt świeże były wówczas rany, zadane Francji przez okupację hitlerowską, bo jeszcze dzisiaj Anton Maria Kelm w książce pt. „Mainz" (wyd. W. Weidlicha, Frankfurt) żali się i pisze o tym, jak to Francuzi przytłaczali inicjatywę władz miejskich, jak utrudniali odbudowę. Może to i prawda, ale Kelm zapomina o czerwcu 1940 roku, o defiladzie Wehrmachtu na Polach Elizejskich. Rozumiem. Temat drażliwy...

Hilton, znana światowa firma, reklamy nie potrzebuje. W każdym razie hotel, w którym mnie ulokowano, dysponuje 250 pokojami gościnnymi i apartamentami, wszystkie z łazienką, radiem, telewizorem i telefonem. Ile kosztuje doba pobytu? Wolałem nie pytać. W każdym bądź razie gdybym kiedykolwiek zjawił się w Moguncji jako turysta ze 130 dolarami w kieszeni, raczej, bym tu nie zajrzał...

Moja opiekunka, pani Ewa Jung-Sikorska, przez cały dzień pracowała w salonie samochodowym we Frankfurcie n/M i z góry mówi, że jest bardzo głodna. Pozostawia mi jednak wybór restauracji. Wybieram jugosłowiańską, serwuje nam kelner z Zagrzebia, który wyraźnie jest zadowolony słysząc słowiańską mowę.

Pani Ewa pochodzi ze Starachowic. Studiowała germanistykę, na wczasach w Bułgarii poznała swego przyszłego męża, który pracuje w zachodnioniemieckim lotnictwie cywilnym. Ma paszport polski, przed kilkoma tygodniami wróciła z odwiedzin w rodzinnym mieście. W Inter Nationes zatrudnia się dorywczo, zajmując się gośćmi z Polski. Intryguje mnie jeszcze to „Jung-Sikorska", w języku polskim bowiem nazwisko panieńskie wyprzedza nazwisko mężowskie. Okazuje się, że w RFN jest odwrotnie. Zapewne podobnie jest we Francji i stąd się wzięło to rażące nas Maria Curie-Skłodowska i UMCS, a nie UMSC, o co ciągle walczą puryści językowi.

Jeszcze krótki spacer po mieście. Godzina 22.00, ale na ulicach pustki. Przed jednym ze sklepów żebrak prosi o wsparcie. Straszny jest ten kontrast: wystawa z luksusowymi meblami, o których na razie możemy jeszcze tylko marzyć, i ten samotny człowiek z czapką w ręku. Bezrobotny? Bezdomny? Wykolejeniec życiowy?

„Jak się panu podoba ten fotel?" — pyta tymczasem pani Ewa Jung-Sikorska.

„A jak się pani podoba ten..." Nie. Nie odpowiadam pytaniem. Nie chcę mącić wieczoru. Tyle przyjemnych wrażeń w ciągu jednego dnia. I teraz ów zgrzyt...

**(cán)**

# PAMIĘTNIK BIAŁOSTOCKI

**Ireneusz J. Kamiński**

EDWARD Redliński wyprowadził się z Białegostoku. Okresowo przebywa w rodzinnym Frampolu (białostockim) — skąd właśnie język „Konopielki" — gdzie prowadzi chałupnicze gospodarstwo. Żałuję, nie widziałem kreatora powieściowej pani Grzybowej (patrz „Awans") podczas orki jesiennej czy wieczornego udoju. Posiadłość ziemska pisarza jest zresztą niewielka, można więc podejrzewać, że z inwentarzem krucho, a ziemia daje tyle, co nic, bo do przednówka. Pojawienie się Redlińskiego we Frampolu nie wywołało zrozumiałej sensacji. Literat w tych stronach to postać swojska, choć w samym Białymstoku nie ma dotąd Związku Literatów Polskich, co bardzo boli tamtejsze władze kulturalne oraz społeczeństwo. We Frampolu życie toczy się swoją drogą, zresztą spokojna reakcja na widok pisarza — nawet zaangażowanego — jest czymś w Polsce dzisiejszej zwyczajnym.

Edward Redliński pomieszkuje we Frampolu i całą noc pali światło. Widać pracuje. Dość często przebywa też w Warszawie, gdzie odwiedza wydawnictwa, macierzystą (etat) redakcję „Kultury" oraz teatry. „Uczę się wielkiego miasta", przyznał się autor „Listów z Rabarbaru" w wywiadzie dla „Gazety Współczesnej". Trąci to przecież reedukacją, jako że mój barczysty kolega dwanaście lat temu ukończył Politechnikę Warszawską, a następnie — Studium Dziennikarskie UW.

Edward Redliński nie traci przecież kontaktu z Białymstokiem. Jako członek kolegium redakcyjnego „Kontrastów" przebywa czasami w gmachu przy ul. Wesołowskiego, najczęściej w pokoju za łazienką, w której wisi kartka z prośbą o nie wrzucanie do umywalki fusów po kawie. „Awans" przetłumaczono na niemiecki, podobno inne narody też dostąpią radości wynikającej z lektury dzieła, a tymczasem Redliński publikuje w „Kontrastach" zwięzły w zapisie „pamiętnik księgowej", czyli rzecz o miłości starszej pani do pewnego pana. Jest to tekst tyle pożyteczny, co banalny.

Pożytki z „pamiętnika" płynące mają charakter poznawczo-dydaktyczny, dowiadujemy się bowiem, że amory osób starszych mogą mieć niewiarygodnie wysoką temperaturę i są autentyczne, to zaś zmusza do przewartościowania pojęć pokoleniowo-erotycznych, ostatecznie — do tolerancji i szacunku dla miłości takich księgowych. Proszę zauważyć, do miłości w starszym wieku mieli do niedawna prawo tylko mężczyźni, literatura i film powielały schematy dwojakiego rodzaju: stary bogaty ramol — młoda cwana, stary szlachetny — młoda samotna i wrażliwa. Czasami dopuszczano też do łoża babcie, wymagając przecież od nieboraczek tytułów szlacheckich, najlepiej jednak carskich. Okazuje się, że księgowe też mogą...

Banalność „pamiętnika" zawarta jest w cyferkach kreślonych na marginesie prawej strony kartkluszek, które ilustrują natężenie doznań fizjologicznych zakochanej pary, przede wszystkim zaś — partnera księgowej. Otóż numery wyraźnie maleją, kiedy na początku znajomości zdarzały się „piątki" i „czwórki", to potem, kiedy kochankowie zaznajomili się z topografią swych ciał, statystyka leci na łeb, na szyję, „dwójka" określa okazjonalne zwycięstwo uczucia oraz sił witalnych nad rutyną i znużeniem. Otóż ta matematyka obnaża banalność przypadku, lokuje go obok dziejów tysięcy innych związków męsko-damskich, które zniszczył czas i niczym nie tonowana zachłanność seksualna partnerów.

Edward Redliński ogłasza „pamiętnik" jako dzieło autentyczne. Nie mając żadnych konkretnych przesłanek, kierując się tylko mglistym przeczuciem i literacką zwartością tekstu, nie bardzo wierzę w rekomendację prezentera. Mistyfikacja czy szczera prawda — sedno sprawy wcale przecież nie leży w odpowiedzi na to pytanie. Opublikowaniem „pamiętnika" redakcja „Kontrastów" postawiła przed czytającą publicznością pewien ważny, lecz jakby skrywany problem obyczajowy, a patrząc szerzej — ludzki. Pogratulować.

Wypada przecież zauważyć, że miesięcznik białostocki nigdy nie miał tak wielkiego powodzenia, jak właśnie w okresie publikacji „pamiętnika". Towar szedł „po znajomości" i spod lady, ludzie, którzy jako żywo nigdy nie słyszeli o „Kontrastach", wyrywali sobie pismo z rąk, skłonni byli płacić za egzemplarz po kilkadziesiąt, a bodaj i więcej złotych. Nie ambitny reportaż, który zaczyna określać profil czasopisma, lecz erotyczna story z trafiającym do prostackiej nawet wyobraźni komentarzem statystycznym przysporzyła „Kontrastom" czytelników. Cokolwiek by się zatem rzekło o walorach poznawczych i autentyzmie „pamiętnika księgowej", w szerokiej recepcji czytelniczej funkcjonuje on na zasadzie właściwej „Smakowi miłości i łez", który niegdyś dla zabawy drukowaliśmy w „Kamenie". Do powieści zwabiał ludzi temat zwyczajnej, „życiowej" miłości młodych obywateli PRL, zanurzony w sentymentalno-dworskim majonezie stylistycznym i semantycznym. „Pamiętnik księgowej", zbudowany z lepszego materiału, także przyciąga tematem miłości zwyczajnej, pospolitej, takiej, która każdemu może się trafić w drodze do wyższych zarobków. Każdy tekst, który umożliwia identyfikację czytelnika z bohaterem, z jego postawą, jest pilnie poszukiwany na rynku księgarskim — to stara prawda. Każdy tekst traktujący o miłości urzędniczki branży handlowej ze sprzedawcą branży spożywczej, księgowej z szoferem, nauczycielki z technikiem budowlanym, inżyniera z pomocą domową pierwszej kategorii — każda taka proza jest dziś na wagę złota. Bo jej prawie nie ma, a tymczasem miłość kwitnie wokół nas w sposób niebywały.

„Pamiętnik księgowej" jeszcze dwa lata temu nie ukazałby się na łamach „Kontrastów". Jego publikacja jest miarą przemian, jakie w ostatnich czasach przeszło społeczeństwo tego miasta, czy mierząc skromniej — środowiska inteligenckie. Charakter tych przemian najlepiej ilustruje postępowanie i cały przypadek biograficzny autora „Zgrzytu", krążącego właśnie między rodzinnym Frampolem, Białymstokiem i Warszawą. Wykorzystując lokalny, wiejsko-białostocki instrument językowy i sposób przeżywania świata, skomponował Redliński niebywały szlagier literacki, z miejsca podchwycony przez czytający kraj. Mało tego: jako pisarz poszedł w Polskę, jako reportażysta bezwzględny — „Ja w nerwowej sprawie" i inne — zwrócił uwagę opinii publicznej kraju na Białystok, na egzotykę obyczajową tej ziemi i jej złożone, nierzadko dramatyczne problemy społeczne. Reportaże mają krótki żywot, taka ich natura, przypuszczam jednak, że niejeden z nas pamięta tekst pt. „Jakiś", opublikowany przez Redlińskiego w „Kulturze" przed 1970 rokiem. To była bomba z opóźnionym zapłonem, której wybuch osmalił także i samego autora.

Swoją działalnością Redliński zakwestionował sensowność stosowania kryteriów regionalnych (czytaj: prowincjonalnych) w życiu publicznym, uderzył w dobre samopoczucie zaścianka. Zatrzymajmy się jednak na tym stwierdzeniu, bo w przeciwnym wypadku zamienimy człowieka z krwi, kości i odrobiny samogonu w plastikowego archanioła Gabriela, ten zaś, jak wiadomo, nawet pod choinką wygląda głupio. Nie mitologizujmy jednostki, albowiem w tym samym kierunku zmierzała działalność innych ludzi. Mało efektowna, bo rozłożona na lata całe, związana z tworzywem znacznie mniej nośnym od słowa drukowanego, równie przecież skutecznie taranowała prowincjonalne okopy. Mam na myśli tę wielką robotę, którą w kulturze artystycznej Białegostoku wykonał Mikołaj Wołkowycki — malarz, od lat dziesięciu, co jest ewenementem w skali krajowej, mądrze kierujący Biurem Wystaw Artystycznych.

Ukończył rzeźbę w warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, ale został malarzem; w przypadkowych okolicznościach cały jego studencki dorobek rzeźbiarski został rozwalony na proszek. To on właśnie wprowadził do Białowieży ogólnopolskie plenery malarskie, które wówczas, tzn. około 1965 roku, były w kraju absolutną nowością, doświadczaną tylko w Osiekach. Plenery chwyciły, zyskały popularność i wysoką rangę, kilka lat temu przekształcono je w międzynarodowe. W 1968 roku „Trybuna Ludu" uznała imprezę za „Białowieski plener Wołkowyckiego", co oczywiście nie wyszło na zdrowie naszemu animatorowi, nękanemu zawiścią niektórych

Dokończenie na str. 7

Fragment wystawy plastyków duńskich w październiku 75 — Arsenał.

# Duchy w Londynie

Dokończenie ze str. 1

J. B. Pristley powiedział kiedyś, że wielki wkład Anglii do cywilizacji polega na miłości do hobby i reliktów przeszłości. Nie tak dawno obchodzono tu uroczyście 150-lecie parowozu.

Pewnego dnia w niedzielne popołudnie grupka staroświecko odzianych gentelmanów przybyła o 1.40 na maleńką stacyjkę, ukrytą wśród lasów — Sheffield Park. Przy stacji stara kobieta sprzedawała miód i masło. Na kawałku dykty, niezgrabnym pismem, wypisano reklamę: „Królowa Matka używa naszego miodu". Wewnątrz stacji, gdzie gorzało odkryte palenisko, panowie kupili staroświeckie bilety, które przedziurkowano staroświeckim przecinakiem. Na peronie kolorowiły się wiktoriańskie reklamy, a wypielęgnowane rabaty pełne były chryzantem. Wszystko wyglądało tak zadbanie, iż można było spodziewać się, że za moment królowa matka wpadnie po następny słoiczek miodu. Wielu panów miało kamery filmowe i magnetofony, by nagrać gwizd lokomotywy i sfilmować parowóz. Podróż trwała piętnaście minut. Po półgodzinnych wspominkach panowie odjechali do domów luksusowymi samochodami. Po ceremonii lord Gretton powiedział w telewizji: „Lokomotywa jest jak żywy organizm. Silniki Diesla nie potrzebują opieki; naciskasz dźwignię i jedziesz. Lokomotywę musisz kochać, by odpłaciła ci się tym samym. Kocham lokomotywy. Niektórzy rodzą się z zezem, ja urodziłem się z silnikiem w ciele".

Peter Underwood jest prezydentem Klubu Duchów od ponad dziesięciu lat. Nigdy sam nie widział ducha, chociaż właściwie nie potrafiłby tego udowodnić, bo można go zobaczyć i nie być tego świadomym. Ostatnio, na przykład, pułkownik brytyjskiej armii opisał, jak to grał w swym domu w bilard z duchem, zupełnie o tym nie wiedząc. Po partyjce młody człowiek wyszedł umyć ręce, a gdy nie było go dłuższy czas, pułkownik zajrzał do łazienki, która okazała się pusta. Było to dziwne, bo pokój miał tylko jedne drzwi, które gospodarz obserwował cały czas. Wtedy dopiero zdał sobie sprawę, że młody człowiek w błękitnym mundurze musiał być duchem syna poprzedniego właściciela domu. Oczywiście nie tylko Anglicy wierzą w duchy, ale siedem procent tego społeczeństwa twierdzi, że widziało kiedyś ducha. Zarówno brukowe jak i poważne gazety przynoszą o duchach reportaże i minęły czasy, kiedy tylko stare zamki i nobliwe domy miały prawo posiadania swego własnego, rezydującego ducha. Niektóre rady miejskie muszą obniżać opłaty za mieszkania z powodu duchów. Ostatnio np. księża kościoła katolickiego i anglikańskiego z Hove wdali się w poważny spór o prawa do wypędzania ducha zakonnicy z placu budowy.

Kto przespacerował się kiedyś po małych uliczkach północnego Londynu, we mgle i deszczu, w niedzielne późne popołudnie, wzdłuż starych opustoszałych domów, oświetlonych upiornym żółtym światłem, ten mi uwierzy.

Na wyspie Isle of Man, znanej z wyścigów samochodowych, mieści się rezydencja królowej czarownic. Jest nią urodzona we Francji Monique Wilson, żona byłego pilota RAF-u Campbella Wilsona. Gerald Gardner, człowiek który od wielu lat propaguje niestrudzenie kult czarowników, spotkał Monique jako młodą dziewczynę w Indochinach i od razu uderzyły go jej szczególne zdolności. W swej książce „Czarownictwo dzisiaj" narzeka, że w szkołach nie uczy się historii czarów. Lord Leinster zapytał w personalnej kolumnie „Times'a", czy jakaś czarownica nie zgodziłaby się łaskawie zdjąć z jego domu ciążącego na nim od 72 lat przekleństwa.

Sto lat temu Londyn był finansową i polityczną stolicą zachodniego świata. Teraz, gdy przeminęło imperium, jest centrum międzynarodowego świata sztuki i antyków. Słowa Pristleya wciąż zachowują swe aktualne znaczenie.

W pełni świadomie rozpocząłem ten list od przykładów krańcowych, gdyż pojawiły mi się one jako kwintesencja społecznej mentalności kraju, który od lat budzi poszukiwawcze pasje badaczy narodowych charakterów. Tak kształtowała się Anglia przez wieki. Jej stabilność i zapatrzona w siebie izolacja nakładały na świadomość narodową Anglików coraz bardziej dziwaczne warstwy. Sprawy będące kontrapunktem tej wiekowej tradycji także chcę podpatrzeć krańcowo, bo socjologiczne zmiany społeczeństw są powolne i w codzienności trudno uchwytne. To, co stanie się kiedyś socjologiczną prawdą, teraz gotuje się dopiero w brytyjskim tyglu.

Jednym z podstawowych dylematów Anglii 1975, w tym głównie Londynu, jest obok EWG i ogólnego impasu gospodarczego problem imigracji. Rozkładające się imperium wypluwało z państw kolonialnych, biednych ekonomicznie i kulturalnie zacofanych, setki swych mieszkańców, zaopatrzonych w brytyjskie paszporty i żądnych dostatniego życia w zasobnej metropolii. Głównie Murzyni, Pakistańczycy i Hindusi, z pieniędzmi uciułanymi za swój nędzny dobytek, wędrowali na Wyspę, jak niegdyś polscy Bartkowie i Macieje za ocean. W zmodernizowanej po wojnie Europie szanse Brytanii znacznie się jednak skurczyły. Londyn oferował przybyszom stare, rozpadające się domy, najgorzej zagospodarowane dzielnice i ustawiczne falowe kryzysy gospodarki. Szybko rosnąca populacja i tak przeludnionego miasta przyprawiała o niemały ból głowy władze miejskie, korzyści płynące z tego wydawały się jednak większe.

Przed kilkunastu laty poza kioskami gazetowymi, oferującymi co prawda większy wybór towarów niż nasze (ciastka, czekolada, napoje chłodzące), nie był otwarty w soboty i niedziele niemal żaden sklep spożywczy. Dzisiaj setki sklepów i sklepików prowadzonych przez imigrantów prosperuje najlepiej właśnie w weekendy. Niedostatki sobotnio-niedzielnego życia handlowego oraz wrodzoną niechęć Anglików do pewnych form zarobkowania Londyn zrównoważył pracą cudzoziemców.

Problemom ekonomicznym, które Rada Miejska miała głównie na uwadze i które można by zapisać na plus wzmożonej imigracji, towarzyszyły jednak poważne zmiany socjologiczne. Angielski tradycjonalizm i spoistość narodowo-charakterologiczna zaczęły nasycać się lokalnymi pierwiastkami kulturowymi ludności przybyłej. Dodatkowym bodźcem do osiedlania się w Londynie jest i była niesłychana tolerancyjność tego miasta. Kraj chełpiący się tolerancją religijną, kulturową i polityczną, w jednej tylko dziedzinie pozostaje twardy: w sprawach moralności, i to tej tradycyjnej, pruderyjnej, znanej powszechnie jako tzw. moralność publiczna. Jej naruszenie karze się tu chyba najsurowiej w Europie. Może dlatego Anglia pozostała poza falą pornografii, zalewającą pozostałe kraje Europy Zachodniej.

Rosnący napływ cudzoziemców do Anglii wpłynął w naturalny sposób na wzrost przestępczości w mieście, pogorszenie się sytuacji mieszkaniowej i kryzys na rynku pracy. Wygasłe imperium uderza w metropolię jak historyczny bumerang. Jeszcze dwa lata temu, podczas mojej poprzedniej wizyty tutaj, miałem okazję obserwować w prasie, radiu i telewizji walkę o sobotnie mecze piłkarskie, kiedy to Brytyjski Związek Piłki Nożnej proponował niedziele jako termin ligowych spotkań. Dzisiaj bywają mecze i w czwartki. Powoli tradycyjne jajka na bekonie zastępuje spaghetti czy pizza, a pudding — kontynentalny makowiec. Anglia jakby rozsuwała skorupę i jeszcze nieśmiało, ale coraz szerzej zerkała na to, co robi świat. Niedługo daremnie szukać będziemy w Londynie śladów dickensowskiej epoki, prezydentów Klubu Duchów i obsesjonatów dyliżansu.

Daleki jestem od sugerowania, że jakikolwiek naród, zwłaszcza o takim dorobku kulturalnym, bez walki odda swą narodową indywidualność. Utrzymuję jednak, że tradycyjnie pojęta „angielskość" staje się powoli generalną cechą określonego typu ludzi, a „angielskość" Anglików przechodzi europeizującą metamorfozę. Na duchu podtrzymał mnie Peter Brusse:

„Anglia nie istnieje, istnieje tylko stan myśli, w żaden sposób nie ograniczony do jakiejkolwiek części Zjednoczonego Królestwa, znanej na mapie jako Anglia, Walia czy Irlandia, chociaż to prawda, że Anglia produkuje więcej „Anglików", niż jakikolwiek inny kraj. Może to pogoda, może herbata, a może inny powód..."

**Wiesław Horabik**

KIEDY chłopstwo letniej niedzieli zmierzało parę kilometrów do kościoła, to na bosaka, a buty ze względów oszczędnościowych niosło w ręku. Dopiero przed przybytkiem zakładało obuwie i tak wkraczało. Ksiądz za 10 groszy położone na tacy mruczał pod nosem tylko — ...um płać, za 50 groszy — bóg zapłać, a za 2 złote — panie boże wielki zapłać — wykrzykiwał z okiem wzniesionym ku górze. Ale nie każdy mógł sobie pozwolić na brzęknięcie o tacę srebrną dwuzłotówką, skoro bywała to wartość całej kilkunastogodzinnej dniówki w fabryce Czerskiego i Jakimowicza.

Wioska Bondyrz leży 25 kilometrów od Zamościa, już na pograniczu Roztocza, w kotlinie górek porośniętych jodłą, sosną i bukiem. Te lasy należały do hrabiostwa Łosiów, senatora Fudakowskiego i Ordynacji Zamojskiej. Zgrzybiałe chaty z okienkami przy ziemi, ule drążone na wzór barci w klocach drewna, ręczne żarna, krosna, cepy... Tak to wyglądało. Rzeczy raczej znane z pouczających podręczników dla naszej dziatwy i młodzieży. Zaczarowany świat folkloru, ale najwięcej zwyczajnej b i d y i harówy. Ludzie miejscowi i okoliczni, często bezrolni, żyli bardziej z lasu niż z ziemi.

Mówi się o okrawkach słoniny, kładzionych na wielkie pajdy razowca i nosem posuwanych podczas spożywania. A czasem nawet, gdy chłop na odświętnym jarmarku kupił bułkę, to wróciwszy do dom, skrzętnie ją kroił w cieniutkie skibki i kładł jako omastę na kromach razowca...

Za cara jeszcze, Aleksandra II, w Bondyrzu stały szopy wołowni, gdzie użyteczne wołki pociągowe nocowały. A obok wołowni — gorzelnia. Nie jest wiadome, czy wołki pasano na okolicznej bukowinie, jest natomiast wiadome, że w roku 1880 teren wołowni i gorzelni wraz z zabudowaniami odkupili od hrabiego Łosia właściciele znanej już wtedy firmy wydawniczo-księgarskiej — Gebethner i Wolff. Przenieśli tu z Podzamcza koło Krasnobrodu starą fabrykę mebli i uruchomili tartak oraz papiernię. W sąsiedniej wsi Kaczórki też zresztą był tartak i fabryczka zapałek.

Interesy firmy Gebethner i Wolff, która miała zasłynąć filiami w Paryżu i Nowym Jorku, szły w Bondyrzu rozmaicie. W każdym razie od 1914 roku właścicielami wytwórni mebli bondyskich są już panowie Zawadzki, Borysowicz i spółka. Nadal produkuje się tu jedynie krzesła w stanie surowym,

# DON JUAN OSKARŻA

Dokończenie ze str. 1

TNP, zafrapował polskiego widza lat 50-tych wysoce artystyczny ascetyzm scenograficzny prezentacji, tak sprzyjający podawaniu polemicznego tekstu.

Niestety kilkanaście lat później srogi zawód przyniosła realizacja czołowego wrocławskiego teatru, którego kierownictwo, słynne z talentu i doświadczenia, nieopatrznie tym razem zaryzykowało przydanie splendoru przedstawieniu „Don Juana", prezentując go w oprawie scenicznej Hasiora. Skutek okazał się fatalny: molierowska argumentacja nie docierała do widza, zapatrzonego na wspaniałe, monumentalne environnement, urzekające awangardową inwencją. Sceneria zamieniła się w wystawę mistrzowskich dzieł plastycznych o bycie samoistnym.

Dość blisko prawdy znalazł się „Don Juan" zademonstrowany na toruńskim FTPP roku 1971. Reżyser Teatru im. W. Horzycy, Krzysztof Rościszewski pokazał w osobie Marka Bargiełowskiego bohatera bezkompromisowego — ironicznego intelektualistę, wybitną indywidualność, zdolną stawić czoło Ciemnogrodowi. Atoli niezwykła teatralizacja sztuki: procesje, dzwony, pienia kościelne, bogaty, wystrój sceny (tutaj wszak funkcjonalny w przeciwieństwie do wrocławskiego), „unaoczniając" dobitnie podłoże socjalne, przyczynę pasji opozycyjnej Don Juana, ograniczały interpretację do ostrej i efektywnej satyry na obłudę, zabobon, fanatyzm epoki (z zachowaniem oczywiście możliwości powstawania w wyobraźni widza pewnych odniesień).

W cieniu natomiast pozostało pytanie, jaki właściwie był stosunek Moliera do bohatera-oskarżyciela, będącego zarazem, według tradycyjnej famy, zuchwałym uwodzicielem. A przecie na tym polega rzekomo dwoistość, która stanowiła kamień obrazy dla komentatorów dążących do obiektywnej analizy postaci Don Juana. Czyż nie paradoks — ktoś kto uchodzi za demoralizatora cnotliwych dziewic, wygłasza raptem z zapałem racjonalne myśli, przy których, zdawałoby się, zabiera głos sam autor? Jakie więc było w gruncie rzeczy credo Moliera w materiach religii? Bo potępienie obłudnego świętoszkostwa nie ulega wątpliwości, lecz co z „prawdziwą" wiarą i morale?

Otóż zniecierpliwiona, przyznam się, przewlekłymi niedopowiedzeniami w tym względzie, zabrałam się przed lubelską realizacją „Don Juana" do uważnego odczytywania na nowo jego tekstu drukowanego, następnie zaś, zdobywszy nie bez trudu niemiecki przekład sztuki Tirso de Moliny „Der Steinerne Gast", przeczytałam sobie i tego „Burlador de Sevilla", prażródło (poprzez scenariusz włoski) omawianej komedii Moliera. Obydwie te lektury doprowadziły mnie do wniosku, że Molierowy „Don Juan" nie jest bynajmniej satyrą t o u t c o u r t na rozwiązłych, cynicznych panków, jak go po dziś dzień niekiedy się interpretuje, lecz o b r o n ą — o s k a r ż e n i e m, wywołanym zakazem grania pierwszej wersji „Tartuffe'a", kapitulacją króla i tych sfer wolnomyślicielskich, wśród których przedtem obracał się Molier, a które stchórzyły przed atakami obskurantów. Sądzę tedy, iż motywy tej jego k o m e d i i - p a m f l e t u dają się lapidarnie określić nieco prostackim, ale trafnym porzekadłem: „Przyganiał kocioł garnkowi, a sam smoli". Wszak naturalny był na ustach pisarza szyderczy okrzyk: „Jestem bezbożnikiem? Ach, tak? Byłem z wami, moi przyjaciele libertyni".

Znakomity Sainte-Beuve, który do roku 1835, kiedy powstał jego portret literacki Moliera, przestawał jeszcze z romantykami, nie odważył się powiedzieć zdecydowanie, że Molier nie wierzył w Boga, ale niejako sugeruje to twierdzenie mówiąc obszernie o przyjaźni pisarza z wybitnymi „libertynami", alias — „wolnomyślicielami, oraz zwracając uwagę na fakt, że Molier był uczniem filozofa — materialisty Gassendiego.

Tyle bym miała tu do powiedzenia a propos „bezbożnictwa". Co zaś się tyczy amoralności i „uwodzicielstwa" Don Juana, no to, dalibóg, czyż sam wielki Molier nie składał przy okazji obfitych ofiar Erosowi? Był człowiekiem teatru, a w teatrze, wiadomo, niesposób...

I ten, kto ma dostęp do egzemplarza „El burlador de Sevilla", może dowodnie się przekonać, jak dalece wybielił Molier swego bohatera. W porównaniu z Don Juanem Tirso de Moliny, skończonym łotrem, erotomanem, pozbawionym doszczętnie poważniejszych refleksji, wykorzystującym w sposób zbrodniczy przywileje hidalga, wygląda on w zakresie przygód miłosnych po prostu na ga-

Kamena str. 4

# HETMAN Z BONDYRZA

Maciej Podgórski

a w tartaku i przerzynalni — gonty oraz podkłady kolejowe. Papiernię przejął bodaj obywatel Dolcher i wytwarzał ze starych szmat gruby papier pakowy do wyścielania skrzynek z cukrem.

I znowuż interesy meblarsko-tartaczne musiały iść raczej średnio, skoro wokół przejęcia fabryki począł się kręcić inny obywatel — nazwiskiem Koj. Ale tutaj na arenę wkroczył Czerski, o którym powiadają rozmaicie. Były legionista, sierżant piechoty zresztą, dorobił się podobno fortuny, uczestnicząc w dziele przejmowania przez skarb państwa mienia pozostałego na stacjach kolejowych po pierwszej wojnie światowej, głównie szło o transporty podkładów i tarcicy. Nie jest to może wszystko takie bardzo pewne, bądź co bądź Czerski, człowiek absolutnie rzutki i łebski pod względem interesów drzewnych i w ogóle, jakimiś podkładami kolejowymi handlował. W roku zaś 1922, dobrawszy do spółki inżyniera kolejnictwa z Radomia, Jakimowicza, oraz wspomnianego obywatela Koja, wszedł w posiadanie fabryki mebli i tartaku w Bondyrzu. Niebawem Koj musiał z tego interesu się wycofać.

Pod zarządem firmy Czerski-Jakimowicz fabryka mebli w Bondyrzu, rozbudowywana i modernizowana, ruszyła bardzo do przodu. Jakimowicz zajmował się raczej sprawami techniczno-produkcyjnymi. Czerski natomiast problemami handlowej natury, rozpoczynając od znajomości z referentem zamojskiego starostwa, a na kontaktach z generałami dywizji kończąc. W Bondyrzu Czerski produkował meble gięte z buczyny oraz — wierny swym kolejowo-wojskowym interesom — sosnowe deski do budowy wagonów i kolby do karabinów dla fabryk zbrojeniowych w Radomiu i Warszawie. Dość szybko firma — z siedzibą w Zamościu — dorobiła się w tymże mieście stolarni mebli stylowych, potężnych tartaków w województwie lubelskim i lwowskim oraz fabryki sklejek i wypalanych deseczek [illegible]eniowych w samym Lwowie.

W tamtych czasach było to przedsięwzięcie na dosyć szeroką skalę, oparte na produkcji seryjnej, z częściowym przeznaczeniem dla odbiorców zagranicznych. Sam Bondyrz wytwarzał do 30 000 krzeseł miesięcznie. Oko mi bieleje, kiedy oglądam wydany w czterech językach katalog firmy z 1937 roku. Fabryka Mebli Giętych oraz Fabryka Siedzeń i Oparć pod ogólnym wezwaniem Czerski-Jakimowicz, zapewnia:

„Wszystkie krzesła, fotele, kanapy i taborety, umieszczone w katalogu, z siedzeniami deseczkowemi mogą być dostarczane z siedzeniami wyplatanemi trzciną. Siedzenia i oparcia deseczkowe są odporne na działanie wilgoci i gorąca. Do wyrobu mebli, siedzeń i oparć używamy wyłącznie drzewa bukowego. Meble wykonujemy w następujących podstawowych kolorach: orzech, średni orzech, jasny orzech, mahoń, jasny naturalny, imitacja dębu, szary i czarny. Inne kolory mogą być również wykonane. Zwykłem połączeniem nóg jest obręcz. Na żądanie możemy wykonać specjalne połączenia: [illegible] łuki, na łuki patentowane. Na życzenie sie[illegible] i obręcz mogą być przykręcone śrubami zaopatrzonemi w mutry. Meble zmontowane [illegible]kujemy w papier i słomę. Na eksport do krajów zamorskich wysyłamy meble demontowane, pakowane w papier w skrzyniach drewnianych lub w belach z juty".

Katalog liczy 94 obszerne stronice, na których zaprezentowano baterię wymyślności meblarskich gietych w kształt dowolny, gładkich i wytłaczanych, naturalnych i palonych, a takoż perforowanych. Siedzenia i oparcia — okrągłe, owalne, w trapez i w podkowę. Kilkadziesiąt rodzajów krzeseł i foteli. Bujaki, taborety, stoły, etażerki, kanapy, mebelki dziecięce, garnitury salonowe, a w końcu umywalki, kwieciarki, wieszaki, kosze i sanki. Nie wątpię, że mogłoby dojść do giętego nocnika z buczyny, gdyby tylko klient — burżuj zażądał takiej fikuśności.

Ale nawet w Bondyrzu nie zrobią z owsa ryżu, i Czerski dobrze wiedział, w czym sprawa. Okoliczne lasy prywatne, okładane ciężkimi podatkami, dostarczały fabryce buczyny i sośniny na pniu i niemal za bezcen. Takie były sierżant piechoty legionowej czynił interesy handlowe z hrabią Łosiem i senatorem Fudakowskim, właścicielami tych lasów. Okoliczna ludność, wielodzietnymi rodzinami osiadła na słabiutkich gruntach i w maleńkich gospodarstwach, albo zgoła bezrolna, to najtańszy rezerwat najczarniejszej robocizny.

Z Radomska i Buczkowic ówczesnych ośrodków meblarstwa polskiego, sprowadził Czerski do Bondyrza mistrzów i fachmanów: pilarzy, giętkarzy, tokarzy i frezerów galanteryjnych. Dla nich zakupił był pod Lwowem i rozebrał całe osiedle domków drewnianych, przetransportował w elementach i pobudował na nowo przy bondyskiej wytwórni. Tym ludziom płacił doskonale: 10—15 złotych dziennie, a szczególnie „złoty interes" kwitł przy produkcji kolb karabinowych. Lud miejscowy natomiast, używany do robót najcięższych i najprymitywniejszych, otrzymywał — bywało — po 2 złote dziennie od pary rąk.

Pośród fachmanów trafiali się rozmaici. Jeden pracował i pracował, żeby potem pić w prywatnej karczmie Hawrylaka, aż dyrektor fabryki przychodził i prosił do roboty. Drugi na własną rękę, czyli „prywatnym pachtem", najmował miejscowych „murzynów" do pomocy i płacił im jedną trzecią wynagrodzenia wedle najniższej taksy, a sam się bogacił niepomiernie. To się nazywało „robić na trzeci grosz". Inny wreszcie poczynał rozglądać się za jakąś szerszą szczęśliwością i sprawiedliwością na tym świecie.

Bo tymczasem i firma robiła, co mogła, żeby sobie kłopotu społecznego napytać. Kombinowała na swoją korzyść stawki akordowe, normy zużytkowania materiału szlifierskiego czy politury. Otwarła sklep fabryczny i część wypłat ustanawiała w postaci bonów do tego sklepu.

Dokończenie na str. 6

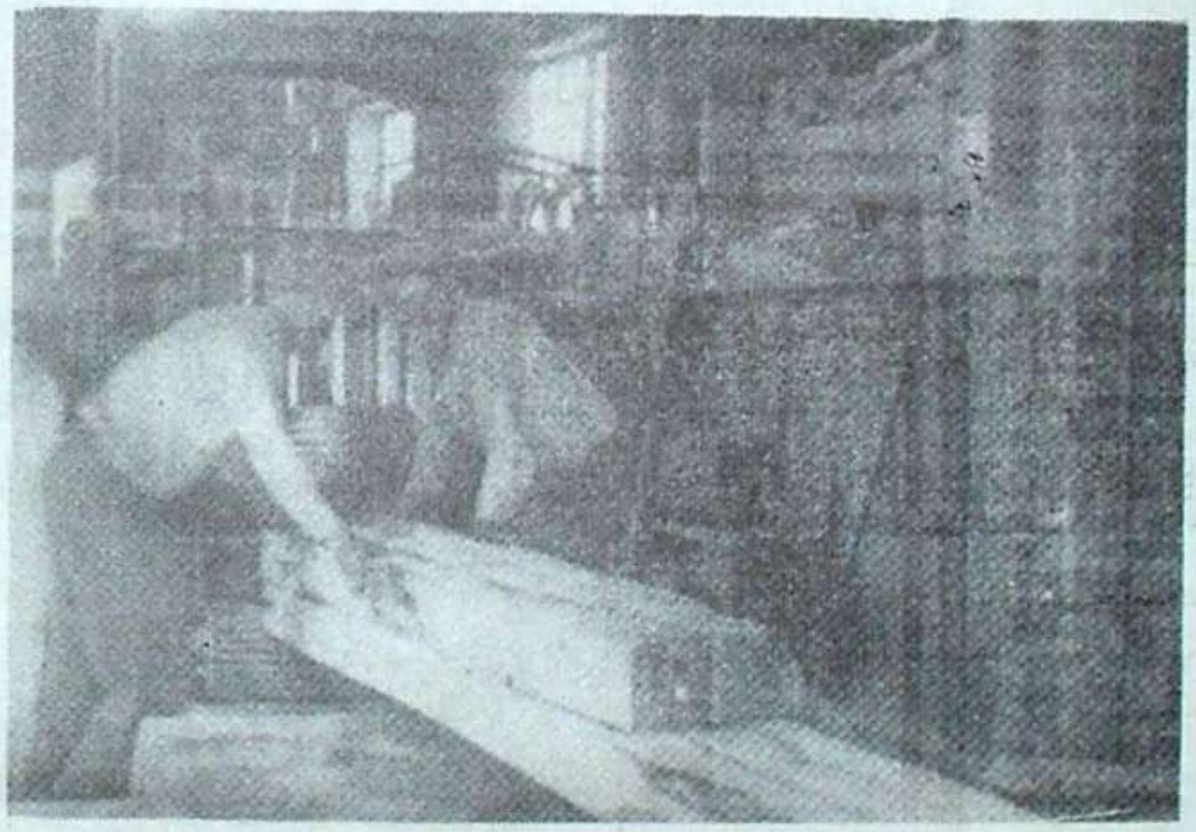

Tartak już nie istniejący

lanta, który musi się wyszumieć. Właściwie echa jego większych bałamuctw pobrzmiewają przede wszystkim w gadaninie Sganarela, na scenę zaś wprowadza Molier tylko epilog ożenku z Elwirą, która wszak dobrowolnie porzuciła dla gładkiego kawalera welon klasztorny wraz z wianuszkiem. Dochodzą jeszcze zaloty w sielskim intermedium, zgódźmy się przecie, że obydwie wieśniaczki „nagradzają swą cnotą" gentilhomme'a z wielką ochotą i nie bez wyrachowania.

Inscenizacja Jerzego Rakowieckiego sprawiła mi dużą satysfakcję swą wiernością oryginałowi. Powyższy długi wywód ma właśnie na celu wykazanie, że Don Juan Moliera nie jest postacią negatywna, że co zatem nie ma w sztuce jego potępienia, słowem, że cała heca z Komandorem słusznie została uteatralizowana przez reżysera pod groteskę, jako wyraźna kpina autora z bigotów. Nie na darmo po zapadnięciu „grzesznika" w czeluście „piekieł" następuje komiczna scena domagania się Sganarela u nieba zapłaty za bezskuteczne kaznodziejstwo. Przekomiczna jest również wieczerza z zaproszonym kamiennym gościem, którego dostojne usztywnienie całkiem się udało Kazimierzowi Siedleckiemu. Drugoplanowa para służących: Stokrotka (Henryk Goń da) i Pyskacz (Stanisław Stojko) także zyskała tu sposobność wykazania się poczuciem humoru.

Dużo wesołości, już innego gatunku, wnosi do spektaklu przygoda nadmorska napisana i rozegrana w stylu starofrancuskiej farsy. Pietrek Jerzego Smolińskiego był tak doskonały w ruchu, geście, mimice, intonacjach, iż nie oparłam się pokusie przymierzania aktora do roli Sganarela.

Oceniając dwóch koryfeuszy obsady, pragnę zaznaczyć z całą szczerością, że uważam Piotra Wysockiego za bardzo atrakcyjnego Don Juana, odpowiadającego głównym uwarunkowaniom stworzonym przez autora. Są to: magnetyzm urody, trochę podszytej niebezpiecznym dla kobiet „demonizmem", ironiczny stosunek do „wielkiej miłości", brak wyniosłej postawy w obcowaniu z domownikami i — co najważniejsze — umysł wyzwolony z absurdalnych konwencji. Słynny monolog oskarżycielski miał w ustach Wysockiego moc przekonywającą godną aplauzu.

W związku z moim odczytaniem „Don Juana", chyba zbliżonym do interpretacji Jerzego Rakowieckiego, widziałabym jednak postać Sganarela pokazaną nieco inaczej, niż to czyni Piotr Suchora. Owszem, utalentowany aktor, któremu nigdy nie skąpiłam uznania, wydobywa ze swego tekstu cały zasób komizmu, a przecie na jego rolę przypada lwia część humoru sztuki. Tym samym zdobywa powodzenie u publiczności. I tu czai się niebagatelne niebezpieczeństwo. Aktor nie powinien zacierać jowialnością piramidalnej głupoty Sganarela, połączonej z obłudą pospolitego chytrusa. Nie wolno dopuścić do tego, by widownia darzyła go większą sympatią niż Don Juana, akceptując pozornie poczciwe moralizatorstwo, które Molier wykpił ze szczególną wyrazistością w dwóch dłuższych monologach „światopoglądowych" Sganarela (pierwszy z nich nawet kończy się dosłownym upadkiem).

Musimy zdawać sobie jasno sprawę, że Sganarel jest niegodziwcem! Już na wstępie złośliwie obmawia swego pana w pogawędce z burgrabią Elwiry, czyli pryska tu mit wiernego, oddanego sługi. Pomijam jego tchórzostwo — formalny atut postaci, ale poza tym ów pseudocnotliwy famulus musi, sądzę, mieć jakieś zakulisowe grzeszki, skoro zaciąga bezzwrotnie pożyczki u Pana Niedzieli (nader udatny epizod Włodzimierza Wiszniewskiego).

Spośród nie wymienionych jeszcze postaci z przyjemnością można wyróżnić Karolkę Barbary Koziarskiej, aktorki, której nieprzeciętna vis comica ujawniła się w niejednej roli. Z wdziękiem zagrała też Elżbieta Skrętkowska Marcysię. Ryszard Kolaszyński nudnie wygłaszanymi naukami Don Luisa raczej dobrze zasłużył się koncepcji inscenizacyjnej. Roman Kruczkowski (brat Elwiry, Don Carlos) i Waldemar Starczyński (Guzman) ofiarnie podjęli się prezentowania prawie niemych figur, prawdopodobnie w oczekiwaniu ról z prawdziwego zdarzenia.

I wreszcie — Elwira. Szczerze mówiąc, wydaje mi się, że jak na pierwsze spotkanie z lubelską publicznością, została Teresa Wicińska obsadzona niefortunnie. Albo może nie zasugerował jej reżyser potrzeby zagrania roli w oparciu o gwałtowniejsze „święte oburzenie".

Scenografia Ewy Nahlik idealnie harmonizuje z koncepcją reżyserską Jerzego Rakowieckiego. Rozbite kolumny są wymowną metaforą zdegenerowanej arystokracji. Potwornie szpetna kaplica cmentarna Komandora (którego za życia, ponoć zadowalało skromniejsze mieszkanie) jest typowym okazem nagrobków arywistów, zajadłych gasicieli wolnej myśli.

W sumie nasuwa się nieodparcie spostrzeżenie, że przejrzysta inscenizacja „Don Juana", którą zawdzięczamy Jerzemu Rakowieckiemu, ukazała absolutną aktualność tej komedii Molierowej. Obiecuję sobie rozpatrzeć kiedy indziej, na czym polega owo zdumiewające zjawisko.

Maria Bechczyc-Rudnicka

Kamena str. 5

wszystkie badania. W razie potrzeby wzywa się wszelkiego rodzaju specjalistów z klinik akademickich, korzysta z najnowszych aparatur, będących do dyspozycji służby zdrowia.

Niezmiernie ważną rzeczą staje się obecnie terapia zajęciowa. Chodzi po prostu o to, aby ludzie robili coś użytecznego społecznie, aby w jakiś sposób czuli się potrzebni. A więc o wykonywanie pracy, z reguły zresztą tzw. fizycznej. Początkowo bardzo prostej, potem coraz trudniejszej — ale do pewnej granicy, której przekroczyć nie wolno. To jest takiej, której ze względu np. na sprawność rąk czy nóg wykonać nie można, a której niemożliwość wykonania zburzyłaby to wszystko, co dotychczas owa terapia zajęciowa zdołała osiągnąć.

Dom zawarł umowy ze spółdzielczością inwalidzką na wykonywanie np. bezpieczników do elektryczności czy wycinanie różnych uszczelek. Wykonuje to już grupa 23 podopiecznych, oczywiście nie ma tu mowy o żadnych ustalonych planach produkcyjnych, nie wysuwa się pretensji, gdy jeden czy drugi element trzeba potem odrzucić ze względu na wymagania jakościowe. Tu przecież chodzi o zupełnie inne sprawy, z czego — na szczęście — spółdzielczość inwalidzka dobrze zdaje sobie sprawę.

W Wydziale Zdrowia i Opieki Społecznej Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie jest referat rehabilitacji. W Domu osoby na odpowiedzialnych stanowiskach mówią mi, dosyć zresztą ostrożnie, że nie są zadowolone z pracy tego referatu. Wydaje się, że gdyby ten referat pracował właściwie, znalazłoby się znacznie więcej pracy, którą mogliby wykonywać podopieczni.

W Domu jest przynajmniej dwadzieścia osób, które mogłyby żyć w swoich rodzinach, utrzymując się z własnej pracy. To ludzie, których np. wskutek amputacji jednej nogi przesłano do Domu, chociaż mają w pełni sprawne ręce, w pełni sprawny mózg, których częściowe kalectwo nie powinno przecież odsuwać od normalnego życia. No ale komuś tam łatwiej było wypisać skierowanie do Domu, niż znaleźć odpowiednią pracę i potem czuwać nad tym, aby go tej pracy nie pozbawiono.

W maju 1967 roku ukazało się rozporządzenie Rady Ministrów w sprawie planowego zatrudniania inwalidów. Nie tylko sformułowania słowne, ale przede wszystkim sens tego rozporządzenia jest głęboko humanistyczny, bo chodzi o to, aby każdy członek naszego społeczeństwa brał czynny udział, zależnie od swoich możliwości, w życiu tego społeczeństwa. Rozporządzenie powiada, że każdy zakład pracy, zatrudniający co najmniej pięćset osób lub objęty przemysłową służbą zdrowia, powinien powołać u siebie komisję do spraw rehabilitacji i zatrudnienia. Komisja ta powinna starannie przejrzeć wszystkie stanowiska pracy i wytypować kilka dla osób o niepełnej sprawności fizycznej. Prawda, że czasem takie stanowisko pracy trzeba by było specjalnie oprzyrządować. Ale przedsiębiorstwa wolą na stanowiskach wymagających prostych czynności zatrudniać nawet fachowców o wysokich kwalifikacjach, niż „zawracać sobie głowę" specjalnym oprzyrządowaniem, chociaż w ostatecznym rachunku jest to ekonomicznie droższe. Nie mówiąc o stratach społecznych i moralnych, które rejestruje się tylko w Domu i jemu podobnych placówkach. W praktyce, niestety, komisji takich jest bardzo mało, a nikt nie poczuwa się do tego, aby wymusić ich powołanie, a następnie efektywne działanie. Byłbym bardzo wdzięczny Wydziałowi Zdrowia za ujawnienie swego stanowiska w tej sprawie, jak również właściwą ocenę działalności referatu rehabilitacji. Może warto też dołączyć kilka słów na temat tzw. działów pracy chronionej. Jeżeli nie w zakładach pracy, to w Domu — co jednak wymagałoby wybudowania specjalnego pawilonu, o czym wspomniałem już wyżej.

Wydaje się jednak, że najtrudniejsze problemy leżą poza możliwościami działania zarówno Domu jak i innych placówek państwowych. Chodzi tu o utrzymywanie więzi rodzinnych. U człowieka chorego, u człowieka pozbawionego możliwości samodzielnego życia świadomość istnienia więzi rodzinnej jest równoznaczna, a może nawet więcej znacząca od jakiejkolwiek intensywnej terapii. To prawda, że w Domu personel, już ustabilizowany po zeszłorocznej regulacji płac, stara się podopiecznemu stworzyć warunki, możliwie najbardziej zbliżone do rodzinnych. Rodzinnych w tym dobrym znaczeniu. Ale tego nigdy w pełni osiągnąć się nie zdoła.

Z drugiej strony dzieje się tak, że najczęściej po początkowym okresie troski, rodzina coraz bardziej zapomina o tym, który został umieszczony w Domu. To prawda, że w okresie świąt nasila się fala listów czy paczek, jest więcej niż zwykle odwiedzin. Ale o znacznej części i tak nikt z zewnątrz nie pamięta. Z drugiej strony jest faktem, że umieszczenie w Domu członka rodziny z dymencją starczą czy daleko posuniętą sklerozą likwiduje wiele konfliktów rodzinnych, nieraz bardzo ostrych, które narastały równolegle z potęgowaniem się choroby. I z reguły opieka lekarsko-pielęgniarska w Domu jest znacznie lepsza niż w domu. A bywa i tak, że lepiej się dzieje, iż do podopiecznego nikt z rodziny nie zagląda, nikt nie napisze...

Oto tragedie, na które ani medycyna, ani psychologia czy inne nauki lekarstwa jeszcze nie znalazły. I chyba nie znajdą, niestety.

A podopieczni wciąż czekają na dobre słowo, na trochę ciepła, troskliwości, serdeczności. W Domu mogą tego oczekiwać przede wszystkim od pielęgniarek, z którymi spotykają się codziennie od rana do rana. Niedawno w naszej prasie centralnej toczyła się szeroka dyskusja na temat pielęgniarek i raczej zgodzono się, że prawdziwych pielęgniarek mamy bardzo mało. Wydaje się, że w Domu po wielu selekcjach zdołano dobrać odpowiedni zespół, chociaż ideału jeszcze nie osiągnięto. Ale chyba nie ma tam pielęgniarek, które w żargonie zawodowym nazywa się zastrzykawkami — a więc takimi, które zakres swoich obowiązków ograniczają do zrobienia zastrzyku czy kroplówki.

Gorzej jest z personelem lekarskim. Okulista i stomatolog przychodzą raz w tygodniu i to wystarcza. Jeżeli natomiast chodzi o internistów, sprawa chyba nie jest właściwie rozwiązana. Zespół Opieki Zdrowotnej Lublina potraktował Dom dosyć formalnie i po postawieniu przysłowiowej fajki na arkuszu statystycznym jakby przestał się sprawą interesować. Wydaje się, że Dom powinien posiadać własnego internistę, może nawet tam mieszkającego, aby w każdej chwili mógł służyć z reguły przecież ciężko chorym ludziom. Tymczasem przydzielono tylko dochodzących lekarzy, więc bywa, że trzeba wzywać pogotowie, a potem niepotrzebnie zajmować miejsce w szpitalu. Co gorsze — jeden z lekarzy, ze specjalnością medycyny przemysłowej (!), traktuje swoje obowiązki w Domu raczej lekkomyślnie, przychodząc — bywa — zamiast trzech razy w tygodniu, zaledwie raz...

Do Domu nie jest łatwo się dostać. Na każde miejsce czeka przynajmniej dwadzieścia osób, w pełni na to zasługujących. Kwalifikują wydziały zdrowia odpowiednich władz wojewódzkich, dokumentacja jest bardzo szczegółowa. Ale zdarzają się też inne wypadki. Oto niedawno patrol milicyjny w Lublinie późnym wieczorem na jednej z ławek dostrzegł mocno już starszą chorą kobietę. Gdyby jej nie dostrzegł i nie zareagował, być może do rana w ową zimną noc doszłoby do tragedii. Za to należy się funkcjonariuszowi pochwała. Ale trudno pochwalić za fakt, że po zawiezieniu jej do Domu przy ul. Głowackiego pozostawił ją przy wejściu, nie powiadamiając nikogo z personelu — co mi w takiej formie zreferowano. Ciekawi mnie również, czy podjęto jakieś kroki wobec zamieszkałej poza Lublinem rodziny staruszki. Rodziny, która ową staruszkę wysłała do Lublina przykazując zajęcie miejsca na ławce i czekanie, aż znajdzie się jakaś pomoc. Nie mnie powinna boleć głowa, jaki paragraf kodeksu karnego trzeba tu zastosować...

# PAMIĘTNIK BIAŁOSTOCKI

Dokończenie ze str. 3

grup środowiskowych. Plenery okazały się decydującą formą zbliżenia plastyki białostockiej do twórczości powstającej w innych ośrodkach kraju, a także terenem kształtowania pojemniejszych i mądrzejszych kryteriów wartościowania własnego dorobku. Czy można przecenić takie ich walory?

Obecnie Wołkowycki jest zdania, że plenery plastyczne w rodzaju białowieskich zestarzały się jako forma twórczej inspiracji i powinny być zastąpione „domem pracy twórczej", otwartym przez cały rok. Nic dodać, nic ująć, a raczej wyciągnąć praktyczne wnioski (na lubelski np. użytek, na użytek nowych województw, które w zbożnym dziele wzbogacania skromnych zasobów lokalnej kultury jakby oszalały na punkcie organizacji plenerów, nie wiedząc o tym, że pożyteczne niegdyś imprezy traktowane są dziś przez artystów jak wczasowiska czy bary wygodnej obsługi).

W tym roku białostockie BWA otrzymało upragniony gmach zabytkowego „Arsenału" przy pałacu Branickich, w którym poza pomieszczeniami biurowymi, obszernymi magazynami, klubem środowisk twórczych, salami ekspozycyjnymi znajduje się bardzo pięknie sklepiona czytelnia publikacji o sztuce, w której odbywają się również prelekcje. Jest to jeden z najładniejszych i jeden z większych w Polsce salonów wystawienniczych, sensownie zresztą wykorzystywany, umożliwiający żywy kontakt miejscowego środowiska z twórczością wybitnych artystów z innych miast kraju, z zagranicy także. Niewiele osób w Białymstoku pamięta, że podczas dziesięć lat trwającego remontu „Arsenału", prowadzonego przez PKZ, najczęściej i na roboczo wizytował obiekt właśnie Wołkowycki, który później, po zakończeniu prac, nie dopuścił do wydarcia nowych pomieszczeń z rąk plastyków i BWA, do czego zmierzały pewne instytucje.

Działalność takich ludzi, jak Redliński i Wołkowycki, przygotowała grunt dla tej licznej i pełnej inicjatywy grupy lubelsko-wrocławskiej, która w ostatnich trzech czy czterech latach zjawiła się w Białymstoku, lokując się z reguły w redakcjach prasy i radia. Oczywiście, instytucjonalne warunki nowoczesnego, a więc nie-zaściankowego myślenia uformował w Białymstoku klimat polityczny lat ostatnich. To nie ulega wątpliwości. Niedostrzeganie jednak tych zjawisk kulturalnych i społecznych, które mając charakter nowoczesny pojawiły się w mieście znacznie wcześniej, jako naturalny produkt socjalistycznego rozwoju, byłoby świadectwem ślepoty lub złej woli.

Osiedlenie się w Białymstoku sporej grupy ludzi z zewnątrz i przejęcie przez nich mniej lub bardziej eksponowanych stanowisk w prasie, radiu i administracji kulturalnej spowodowało wśród miejscowych widoczną nerwowość. Tym bardziej, że nowi poświadczyli swoją obecność ostrym atakiem na konwencjonalne, a więc nie dostrzegane tutaj na co dzień schorzenia życia społecznego. Krytykowano np. plany i praktykę urbanistyczną odpowiednich instytucji, a nawet świętą krowę naszej rzeczywistości, czyli szkolnictwo. W tych reformujących galopach wpadano czasami w tzw. szkodę. Pewien ekslublinianin mocno sponiewierał „Konopielkę" Redlińskiego, co wytrąciło nieco z równowagi hołubionego powszechnie przez krytykę autora. Rodak tamtego sceptyka napadł z kolei na BWA, trafiając „jak kulą w płot" — mimo, a może z powodu... młodego oka, niezbyt jeszcze doświadczonego w społecznej obserwacji.

Ostatnio Białystok przeżywa kolejną metamorfozę: zacierają się podziały na „swoich" i „obcych", obie strony wspólnie zaczynają kreować wartości. Do jakiej takiej harmonii co prawda daleko, ale to kwestia czasu. Najważniejsze przy tym, że model myślenia i działania antyzaściankowego zdaje się upowszechniać. Dowodem pierwszym z brzegu — akceptacja nowych „Kontrastów" (Krzyżagórskiego) jako pisma ponadregionalnego, zajmującego się przede wszystkim reportażem i refleksją teoretyczną nad tym gatunkiem dziennikarskim. Redaktor naczelny pisma otrzymał właśnie Nagrodę Przewodniczącego Wojewódzkiej Rady Narodowej i Wojewody Białostockiego oraz cały pęczek prywatnych gratulacji, złożonych z tejże okazji. Inne dowody odnaleźć można w przyjętym do realizacji „Programie rozwoju kultury w województwie białostockim w latach 1975—1990".

Znający się na rzeczy ocenili opracowanie jako dobre, co właściwie wypada potwierdzić, przymykając oczy na pewne uproszczenia motywacyjne (może konieczne w warunkach regionu?), dysproporcje w traktowaniu zagadnień (zbyt powściągliwie o ochronie zabytków) oraz szlachetne naiwności patronujące propozycji powołania wojewódzkiej rady kultury oraz rady repertuarowej, po których to ciałach oczekuje się wiele dobrego... Cóż to jednak znaczy wobec ducha „Programu", który wypowiada walkę miernocie i ciągotom partykularnym, a jednocześnie ujmuje kulturę jako element oświaty powszechnej, nie zapominając przecież o jej wartościach autonomicznych, satysfakcjonujących np. estetycznie. Charakter dokumentu nieźle ilustruje choćby rozdział „Środowisko twórcze", przedstawiający m. in. zasady i cele przyznawania dorocznych nagród kulturalnych Białostocczyzny.

Premie te będą wręczane: „za dzieła, które w sposób istotny wzbogacają region i służą jego rozwojowi, niezależnie od tego, gdzie mieszkają twórcy tych dzieł". Takie podejście do sprawy — mądre i unikalne w skali krajowej — umożliwiło przyznanie jednej z tegorocznych nagród Alfonsowi Karnemu, rzeźbiarzowi warszawskiemu rodem z Białegostoku, który zdeponował w tamtejszym muzeum pokaźną partię swych dzieł portretowych. Eksponowane w kameralnej salce „Arsenału", te świetne skądinąd prace dużo jednak tracą: przestrzeń wręcz dusi wielkie torsy, deformując wyraz niektórych rzeźb.

Warto też zapamiętać takie zdania: „Nagrody przyznawane będą jedynie za osiągnięcia rzeczywiste, wytrzymujące porównanie z analogicznymi dziełami powstałymi w innych regionach, a uznanymi słusznie za wybitne na forum ogólnokrajowym. Jeśli więc w danym roku nie powstanie w którejś z dziedzin dzieło posiadające te walory — należy wówczas zrezygnować raczej z przyznania nagrody w tej dziedzinie, niźli obniżać ustanowione kryterium".

Nam natomiast wypada zrezygnować z komentarzy. Tym bardziej że już w trakcie przyznawania tegorocznych nagród wiernie trzymano się cytowanych tu zasad. Przypomnijmy tylko, że nagrodę literacką otrzymał Edward Redliński.

**Ireneusz J. Kamiński**

Kamena str. 7

# OSTATNI REJS

Roman Szpala

WOJENNY konwój statków, do którego miał być włączony s/s „Paderewski", odpłynął 18 grudnia 1942 roku. Pewnie dopływa już do miejsca przeznaczenia, a oni wciąż tkwią w brazylijskim porcie Belem do Para. Podczas nieostrożnego manewrowania innymi statkami w porcie urwano mu dwa skrzydła śruby napędowej. Po długiej naradzie z załogą kapitan Jerzy Mieszkowski miał do wyboru: albo gnuśnieć w atlantyckim lejku rzeki Tocantis czekając nie wiadomo jak długo na przysłanie nowej śruby napędowej, albo na małych obrotach popłynąć samotnie do Port of Spain na wyspie Trynidad. Tam była szansa na realną pomoc w stoczni.

Marynarze wiedzieli, że ich statek powinien w możliwie najkrótszym czasie dopłynąć do portu docelowego, gdyż na jego ładunek czekają fabryki, produkujące broń i zaopatrzenie dla alianckich żołnierzy — brytyjskich, radzieckich czy amerykańskich. W oczach marynarzy kapitan dostrzegł, że z ich pełną aprobatą spotka się tylko decyzja wypłynięcia.

Tak więc następnego dnia s/s „Paderewski" wyruszył do Port of Spain, wypełniony drobnicą i na pokładzie stertami tarcicy. W tym czasie niemieckie łodzie podwodne grasowały raczej na Morzu Karaibskim, ta część Atlantyku powinna być spokojna. Jednak pojedyńcze U-booty zaglądały i tutaj, mimo wszystko więc w każdej chwili można było spodziewać się ataku torpedowego. Samotny, wolno płynący parowiec stanowił dla nich nie lada gratkę. Pewną pociechą dla załogi była doskonała widoczność. Atlantyk był wyjątkowo spokojny, nawet najmniejszy wietrzyk nie marszczył jego powierzchni. Można więc dosyć wcześnie zobaczyć tor mknącej torpedy. A może dowódca U-boota będzie myślał, że tak podejrzanie wolno płynący statek jest doskonale uzbrojoną przynętą i zrezygnuje z ataku?

Najgorsze były noce. Wprawdzie zaciemniony statek płynął zygzakami, co znacznie utrudniało ewentualny atak torpedowy, ale to tylko namiastka bezpieczeństwa. Była pełnia księżyca i sylwetka frachtowca odcinała się wyraźnie z tła wody czy nieba, stanowiąc dogodny cel dla napastnika. Niedawno właśnie w tym rejonie norweski statek został ugodzony torpedą w nocy. Marynarze jeszcze pamiętają przerażone twarze trzydziestu rozbitków, wyłowionych przez „Paderewskiego".

W takim napięciu i ciągłym rozważaniu szans minął wieczór wigilijny i dwa dni świąt. Aby jakoś zabić czas, załoga szczególnie zawzięcie rozprawiała o polityce, ostatnich wydarzeniach na frontach i coraz tragiczniejszych wiadomościach z kraju, gdzie szalał hitlerowski terror.

Po jedenastu dniach niebezpiecznej podróży statek zbliżał się już do Trynidadu. Nagle w ostatnią noc frachtowcem wstrząsnął potężny wybuch. Posypały się szyby, odłamki metalu i drewna, buchnęła para z kotła, zakrztusił się motor i stanął. W środek kadłuba, tuż przy maszynowni, trafiła go torpeda. Rozdarła prawą burtę, zniszczyła kabinę drugiego oficera i trzeciego mechanika, wyrzuciła na pokład odpoczywających na rufie w hamakach marynarzy, w śródokręciu powyrywała drzwi z zawiasami lub zaklinowała je na mur. Wyjścia musiano torować łomami. Było jasne, że dla statku nie ma już ratunku. S/s „Paderewski" przechylił się na burtę, woda sięgała relingów. Z uszkodzonych zbiorników strumieniami wypływała ropa, oblewająca najpierw ludzi w maszynowni, a potem każdego, kto tylko poruszał się po pokładzie.

Gdy już przechył był bardzo duży, kapitan nakazał opuszczenie statku. To była ostateczna, ale konieczna decyzja, jeżeli chciało się ratować załogę. Ale jej wykonanie nie było łatwe. Na rufie kilku marynarzy usiłowało przyciągnąć do lewej burty spuszczoną na wodę tratwę ratunkową, ale silny prąd i fale uniemożliwiały wykonanie tego manewru. Kilku ryzykantów skoczyło więc do oceanu i wpław do niej dopłynęło. Z tej samej burty zwisała jeszcze szalupa, ale buchająca z maszynowni para odstraszała nawet śmiałków. W każdej chwili mogła nastąpić eksplozja kotłów, jak to się zdarzyło przed kilku tygodniami na duńskim frachtowcu, także storpedowanym.

Po wielu wysiłkach udało się spuścić szalupę z prawej burty. Wypełniona ludźmi po brzegi odpływała na bezpieczną odległość. Ale na pokładzie pozostało jeszcze kilkunastu marynarzy z kapitanem. Z trudem mogli się poruszać po zalanym ropą pokładzie. Szalupa z prawej burty leżała rozbita na pokładzie, druga łódź wyglądała jak zgnieciona puszka po konserwach. Tylko ostatnia szalupa z pokładu przy lewej burcie nadawała się jeszcze do użytku, ale najpierw trzeba było z niej usunąć wrzucone tam wybuchem odłamki wentylatorów i różnego żelastwa. Udało się. Ostatni wsiadł do niej kapitan, zabierając kasę, dziennik okrętowy i inne dokumenty.

Przeliczono uratowanych. Brakowało trzeciego mechanika — Włodzimierza Szewczuka i dwóch palaczy — Mariana Rojka oraz Dymitra Romanciwa. Wszyscy w czasie wybuchu pełnili służbę w maszynowni i z pewnością zostali zabici. A może są tylko ciężko ranni? Postanowiono poczekać do świtu, aby potem wrócić na pokład, jeżeli statek jeszcze nie zatonie i przeszukać go.

Nagle ktoś z szalupy krzyknął: światło na statku! Istotnie było widać słabe światełko, poruszające się na pokładzie szalupowym. Może to któryś z zaginionych wzywa pomocy? A może tylko pozostawiona przez kogoś latarka elektryczna, turlająca się po pokładzie?

Kapitan kazał szalupie podpłynąć bliżej. Nagle tuż obok wyłoniła się z wody niemiecka łódź podwodna. Jej działa i karabiny natychmiast skierowały się na statek. Usłyszeli, jak za chwilę z otwartej wieżyczki U-boota niemiecki marynarz meldował coś swojemu dowódcy. Po chwili łódź podpłynęła do „Paderewskiego", a zaraz potem rozległy się serie z cekaemów i działka. Były to pociski zapalające, ale dopiero po wystrzeleniu specjalnej rakiety „Paderewski" zaczął się palić. Rozbitkowie z bezsilną wściekłością patrzyli, jak ich statek zamienił się w olbrzymią pochodnię, a czerwona łuna zdawała się sięgać chmur.

Hitlerowska łódź obróciła się w stronę szalup. Wydawało się, że nic już nie ocali rozbitków. Był to czwarty rok totalnej wojny i hitlerowcy nie tylko bezwzględnie topili alianckie okręty, ale strzelali także do ratujących się rozbitków. Wśród obezwładniającej grozy upływały sekundy, długie jak całe lata.

U-boot zatrzymał maszyny, na pomoście zjawił się brodaty oficer. Karabiny i działka maszynowe skierowane na ocalałych marynarzy „Paderewskiego" milczały, nie padł jeszcze ostateczny rozkaz. Oficer hitlerowski delektował się swoją bezwzględną władzą nad zdanymi na jego łaskę ludźmi.

Jakby zmartwiałą ciszę przerwał nagle szybko narastający warkot samolotów. Podwodny pirat przestraszył się i natychmiast skrył się pod wodę. Ratunek przyszedł w ostatniej chwili. To nadlatywały amerykańskie samoloty zwiadowcze z pobliskiej wyspy Tobago. Zeszły nisko nad wodę, reflektorami oświetliły statek i jego okolicę, zrzucając serie bomb głębinowych. Po kilkudziesięciu minutach odleciały do bazy. Nad ranem s/s „Paderewski" dopalił się i zatonął.

Wstawał świt. Szalupy musiały unikać kolizji z dryfującymi klocami drewna. Ubrania były przesiąknięte ropą, tak że nawet doświadczeni marynarze ulegli morskiej chorobie. Kapitan miał tylko jeden pantofel, inni byli boso lub w sandałach, niektórzy w piżamach lub slipach. Ale najważniejsze, że żyli. Około południa szalupy spotkały się z tratwą. Wkrótce potem zjawił się amerykański ścigacz, zabierając rozbitków na swój pokład. Mimo głodu marynarze zażądali przede wszystkim nafty, aby zmyć ropę—

Kamena str. 8

FOTOGRAMY BARTŁOMIEJA WIECZORKA

# „MIECZ I PŁUG"

**Drukujemy dalszy ciąg wspomnień generała brygady Artura Jastrzębskiego, który w czasie wojny jako Artur Ritter pracował w wywiadzie radzieckim, będąc formalnie członkiem SA. Wspomnienia — w opracowunia Stanisława Majewskiego.**

KOLA pracował z poświęceniem. Rozpierała go radość z odzyskanej ojczyzny i duma, że on, właśnie on, może jej służyć w trudnym czasie. Bywało, musiałem powstrzymywać jego zapędy, a nawet karcić za lekceważenie niebezpieczeństwa.

Podczas spotkań organizowanych w mieszkaniu Tumanowa, przy urzekającym akompaniamencie jego gitary, niejednemu zaproszonemu gościowi rozwiązywał się język. Kola był mistrzem, jeśli chodzi o wywoływanie nastroju. Duszę rosyjską znał dobrze i wiedział, w jaki ton należy uderzyć, by odebrać właściwe echo.

Kiedyś, pamiętam, zaprosił pułkownika kozackiego, Sewastiejewa, który zjawił się ponury jak chmura gradowa. Początkowo był sztywny i raczej milczący, mówił bardzo zdawkowo i oszczędnie. Kola nie żałował przedniej nalewki, grał rzewne pieśni, nucił stare dumki rosyjskie. W pewnej chwili zapytał gościa:

— Wołodia, ty pomnisz swoju eskadronnuju piesniu?

Eskadronnaja piesnia — to pieśń pułkowa. W carskiej armii był taki zwyczaj, że każdy pułk miał własną pieśń.

Nie czekając odpowiedzi, Kola uderzył w struny i zaśpiewał tak, że Sewastiejew zapomniał o wszystkim, huknął się w pierś aż zadudniło jak w pustej beczce, podchwycił pieśń, rozpłakał się, w końcu poszarpał na sobie koszulę na strzępy.

W takich to okolicznościach dowiadywaliśmy się wielu rzeczy. Na przykład, że syn starego emigranta Brunnera udaje się określonego dnia do Pskowa z dużą sumą pieniędzy, i że tam organizowany będzie przerzut dywersantów na tyły Armii Czerwonej. Innym znów razem ustaliliśmy, że Szapowałow podąży w tym samym celu do Charkowa...

Młody Brunner nie zdążył jeszcze wsiąść do pociągu w Warszawie, a Centrala w Moskwie już mogła powiadomić komórkę wywiadu w Pskowie o spodziewanej wizycie i podjąć odpowiednie kroki.

Zdarzało się, że goście Tumanowa wyrażali w naszej obecności zdumienie z powodu niezwykłej operatywności radzieckiego kontrwywiadu. Okazywało się bowiem, że wysłani przez Berlin na terytorium Związku Radzieckiego agenci likwidowani byli jeden po drugim...

A teraz o komicznym wydarzeniu, bo i takie zdarzają się nawet w najdramatyczniejszych sytuacjach. Kiedyś wpadłem na koncept podbudowania reputacji Tumanowa w środowisku białych emigrantów, choć Kola w istocie rzeczy nie potrzebował takiego wsparcia z mojej strony.

Utrzymywałem osobiste kontakty ze starym znajomym mego ojca, niejakim Raszewskim, pochodzącym również z Żyrardowa. Podczas którejś kolejnej wizyty w mieszkaniu

# ŻYCIE

Raszewskiego przy ulicy Nowogrodzkiej spostrzegłem dużych rozmiarów gobelin, przedstawiający postać cara Mikołaja II z karabinem na ramieniu. Raszewski był w młodości grafikiem i pracował w Zakładach Żyrardowskich; do niego należało artystyczne projektowanie gobelinów. W 1912 roku, w trzechsetną rocznicę panowania dynastii Romanowych na tronie rosyjskim, dyrekcja Zakładów Żyrardowskich przygotowała prezent dla cara, właśnie w formie tego wspaniałego gobelinu.

Raszewski był w posiadaniu jednego z próbnych egzemplarzy. Kryzysowa sytuacja w okresie okupacji zmusiła go do wydobycia tej sztuki z zakamarków, a to w celu spieniężenia. Ujrzawszy gobelin o tak ciekawej tematyce, natychmiast pomyślałem w Tumanowie, a raczej o jego środowisku. Nie namyślając się długo zaproponowałem Raszewskiemu, by odsprzedał mi gobelin. Spojrzał na mnie, jak zwykło się patrzeć na kpiarza.

— Coś ty, zgłupiałeś chłopie? Na cholerę ci car Mikołaj? — zareagował Raszewski.

Kupiłem jednak gobelin, ku zadowoleniu Raszewskiego i jeszcze większemu Tumanowa — który na jednym z posiedzeń Oficerskiego Sobranija uroczyście i z całą powagą wręczył stary gobelin prezesowi emigranckiej organizacji — generałowi Trusowowi. Dzieło tkackie wywołało wśród zebranych wrażenie piorunujące. Tumanow urósł w oczach wszystkich, odbierał gratulacje i hołdy; wszak przez tyle lat zdołał przechować wizerunek cara-batiuszki! Taki czyn wystawiał Tumanowowi odpowiednie świadectwo.

Gobelin, jak relikwię świętą, oprawiono w ciężką, złoconą ramę i ceremonialnie zawieszono w lokalu organizacji na głównej ścianie.

Wzruszony pos
nerał Trusow
huczne przyjęci
czącym się pr
szałkowskiej i
grywał — słyn
sach — zespół S
skich strojach
ja na tym pr
durze SA-mana

Tak więc
wciągnęliśmy
wywiadowczej.

Któregoś dni
ną informację
przyjeździe do
Własowa. Niezw
tę wiadomość

informacją skie
czy można, w
licznościach, do
Własowa?

Czesław Skon
ny za pracę ra
niczał do minim
ze względu na
skiej służby na
nocą łowiącej
Dlatego też sk
i w moim imien
tu: czy mamy
sowa?

Odpowiedź n
nie: oczywiście
wać zdrajcę.

Mając zgodę
łem szczegółowy
ją z przygotow
powitalnym na
poznałem szcz
odbyć imprezy,
już zaproszenie
sprzyjało pokie
machową. Dob
nich ludzi do
dania, przewid
riantów działani

Własow nie
dobrze wiedział
dziewać się w
Warszawa. Pr
bardziej szczeg
nie spotkał się
dowiskiem i zab
zaledwie około
jąc się w dalszą
W tych warunk
rzenia spełzły na

Po wyzwoleni
powodu nieprzyj
konałem polecen

Przedstawiam
zaledwie, moją
białej emigracji
okupantowi. Dru
szej penetracji
nowa — był st
szyzującej praw
służbą wywiado

umanowa, ge-
na jego cześć
lokalu, miesz-
gu ulic Mar-
j, gdzie przy-
tamtych cza-
nowa w rosyj-
ch. Byłem i
i to w mun-

Mikołaja II
do roboty

kaliśmy pew-
projektowanym
awy generała
e przekazałem
ntrali. Wraz z

em zapytanie:
jających oko-
zamachu na

odpowiedział-
ajnika, ogra-
as jego emisji
ność hitlerow-
wej, dniem i
sy w eterze.
tekst depeszy
pytał po pros-
widować Wła-

a błyskawicz-
ono zlikwido-

ali, opracowa-
akcji, wiążąc
m bankietem
Własowa. Roz-
mającej się
którą miałem
ilku osób, co
iu grupą za-
y odpowied-
ania tego za-
y kilka wa-

ednak kpem i
go może spo-
n mieście, jak
ał więc bez
j zapowiedzi,
granckim śro-
w Warszawie
godzin, uda-
gę na wschód.
nasze zamie-
ym.
iałem z tego
ości: nie wy-
dowództwa!
ótce, szkicowo
w środowisku
ysługującej się
obszarem na-
uż bez Tuma-
środowiska fa-
z hitlerowską

W początkach 1942 roku przypadkowo spotkałem na ulicy warszawskiej kolegę z lat gimnazjalnych — Bogusława Hrynkiewicza. Przed laty razem należeliśmy do jednego koła Związku Młodzieży Komunistycznej. Hrynkiewicz był synem ubogiej wdowy, która z wielkim trudem zapewniała chłopakowi naukę w gimnazjum. W okresie międzywojennym Boguś był członkiem akademickiej organizacji „Życie", następnie członkiem i okręgowcem KPP. Miałem do niego absolutne zaufanie.

Spotkanie nasze nastąpiło w czasie, kiedy starzy działacze komunistyczni uporczywie poszukiwali kontaktów z odradzającą się partią. Z rozmowy zorientowałem się, że Hrynkiewicz również usiłuje znaleźć drogę do podziemia, że pragnie włączyć się do czynnej walki z okupantem. Z tej racji oświadczyłem mu wprost, że tym razem trafił pod właściwy adres. Uradował się szczerze i gotów był do natychmiastowego działania. Musiałem go jednak trochę ostudzić, a następnie wyjawiłem, że pragnę go widzieć w odpowiedzialnej pracy wywiadowczej. Boguś zareagował wręcz entuzjastycznie. Był młodym człowiekiem, wychowanym na literaturze romantycznej; służbę w wywiadzie antyhitlerowskim potraktował jako wielki zaszczyt i szczególne wyróżnienie.

Podczas dalszych spotkań i kolejnych rozmów rozważaliśmy aktualne znajomości i kontakty Hrynkiewicza oraz możliwości uzyskiwania z tych źródeł wiadomości interesujących wywiad. Jako inteligent, Hrynkiewicz miał dość rozległe znajomości, a przy tym posiadał dar zjednywania sobie ludzi i trafnego ich charakteryzowania. Był człowiekiem dojrzałym i ostrożnym.

Poleciłem mu trzymać się z dala od partii i jej ludzi.

Po upływie jakiegoś czasu Hrynkiewicz poinformował mnie, że ktoś proponuje mu wstąpienie do nielegalnej organizacji noszącej nazwę „MIECZ I PŁUG".

Nazwa ta nic nam jeszcze nie mówiła. Nie wiedzieliśmy, co to za twór polityczny, jaki ma program i cel. Wiadomo, że w okupowanej Polsce, zwłaszcza w pierwszym okresie, organizacje podziemne mnożyły się jak przysłowiowe grzyby po deszczu. Było to zjawisko pozytywne, świadczące o woli walki narodu. Należało być jednak ostrożnym, gdyż gestapo działało metodą najróżniejszych prowokacji, chcąc przede wszystkim uderzać w ludzi zaangażowanych, walczących.

Hrynkiewicz otrzymał zgodę na przyjęcie propozycji i pierwsze zadanie: rozpoznać charakter i oblicze polityczne organizacji „Miecz i Pług".

Po upływie jakiegoś czasu obraz stał się jasny — „Miecz i Pług" była organizacją o programie ultrareakcyjnym, faszystowskim. Władzę nad organizacją sprawowali dawni bojówkarze, pogardliwie zwani przed wojną „żyletkarzami". Faktyczne kierownictwo organizacją spoczywało w rękach dwu ludzi: Anatola Słowikowskiego ps. „Andrzej Nieznany" i Zbigniewa Grada ps. „Doktor". Obaj „wodzowie" — jak wkrótce ustalił Hrynkiewicz — pozostawali na żołdzie centrali gestapo w Warszawie!

Opanowanie „Miecza i Pługa" przez kolaborantów stanowiło groźne niebezpieczeństwo dla wszystkich ludzi myślących po polsku, pragnących walki z okupantem i przyspieszenia wyzwolenia ojczyzny. Oprócz mętów społecznych, zdrajców i głównych reżyserów prowokacji — obliczonej zresztą na większą skalę — w szeregach „Miecza i Pługa" znaleźli się przecież uczciwi ludzie, nie orientujący się, w jakie sidła zostali schwytani. Organizacja rozrastała się szybko i to nie tylko na obszarze Warszawy i tzw. Generalnej Guberni, lecz również poza jej granicami, zwłaszcza na ziemiach zachodnich i północnych, gdzie żywe były jeszcze tradycje oenerowsko-endeckie.

Bogusław Hrynkiewicz otrzymał przeto kolejne trudne zadanie: wspinać się po szczeblach organizacyjnych, pozyskać pełne zaufanie kierownictwa „Miecza i Pługa" — za wszelką cenę! Przyjęcie tego zadania oznaczało, że musi przywdziać maskę faszysty.

Upłynęło wiele miesięcy, nim Hrynkiewicz mógł zameldować, że wykonał również i to zadanie. Dokooptowano go do składu „sztabu" organizacji; stał się członkiem jej kierownictwa. Powierzono mu pion organizacyjny. Tak więc w kierownictwie „Miecza i Pługa" dwaj ludzie pozostawali w służbie gestapo, trzeci zaś, głęboko zakonspirowany komunista, działał na rzecz sił antyhitlerowskich. Inni jeszcze, zarówno w kierownictwie jak i na niższych szczeblach tej organizacji, byli „powtykani" przez sprawnie działający wywiad Armii Krajowej i Delegatury — ludziom tym również mogły być znane związki Słowikowskiego i Grada z gestapo.

Przez pewien okres Hrynkiewiczowi podlegała redakcja tygodnika „Miecza i Pługa". Słowikowski i Grad polecili mu opracować artykuł o PPR, oczywiście z pozycji skrajnej prawicy. Nie wykluczaliśmy, że jest to posunięcie obmyślone, celowe, dla sprawdzenia oblicza Hrynkiewicza.

Zakłopotany tym zadaniem Hrynkiewicz zwrócił się do mnie z prośbą o spreparowanie odpowiedniego tekstu; sam nie wiedział, jak ma wybrnąć z sytuacji. Ja zaś zwróciłem się do Skonieckiego, który pozostawił nam wolną rękę. Sugerował jednak, że w artykule należy po prostu zbagatelizować znaczenie PPR i ruchu lewicowego w Polsce. Zarówno wtedy jak i dziś uważam, że taka koncepcja artykułu była błędna. Lekceważenie roli PPR i jej wpływów w okresie klęsk hitlerowskich na froncie wschodnim i nasilenia się walk partyzanckich w kraju, groziło Hrynkiewiczowi dekonspiracją. Trzeba było z jego strony wielu zabiegów, by w końcu odwieść Słowikowskiego i Grada od zamiaru zamieszczenia artykułu.

Przytoczone tu fakty ilustrują zawiłość sytuacji i problemów, jakie stawały przed Hrynkiewiczem.

Służba wywiadowcza „Miecza i Pługa" zbierała informacje o ruchu niepodległościowo - rewolucyjnym, przede wszystkim jednak inwigilowała działaczy lewicowych, demokratycznych. Gestapo — poprzez Słowikowskiego i Grada — miało znacznie ułatwioną robotę.

Ale Bogusław Hrynkiewicz czuwał. Dzięki niemu nasz wywiad otrzymywał wykazy nazwisk ludzi, którym zagrażało śmiertelne niebezpieczeństwo. Ludzi tych, rzecz jasna, w porę ostrzegano, jeśli tylko było to możliwe. Setki patriotów polskich uniknęły tortur i śmierci. I do dziś nie wiedzą, komu zawdzięczają ocalenie.

Nie zawsze jednak udawało się Hrynkiewiczowi trzymać rękę na pulsie. Było to całkiem zrozumiałe, gdyż Słowikowski i Grad nie musieli — i na pewno tak było! — informować go o wszystkich swoich poczynaniach, zwłaszcza że w miarę nasilania się terroru okupanta gestapo nie zabawiało się w zbędne śledztwo i udowadnianie Polakom ich „winy".

Sytuacja w łonie „Miecza i Pługa" — absolutne panowanie nad organizacją agentów gestapo — zmusiła nas do rozważenia sposobu zmiany istniejącego stanu rzeczy. Powzięliśmy wreszcie postanowienie o pilnej konieczności wyeliminowania z kierownictwa „Miecza i Pługa" obu zdrajców narodu polskiego. Chcieliśmy tym samym stworzyć warunki, dające nam możliwości paraliżowania wrogich ruchowi rewolucyjno-niepodległościowemu zamiarów i poczynań okupanta. Droga do tego celu mogła być tylko jedna: usunięcie Słowikowskiego i Grada...

Wypełniając rozkaz, Hrynkiewicz zgromadził niepodważalne dowody zdrady obu „wodzów", a następnie ujawnił je przed innymi członkami kierownictwa „Miecza i Pługa", działającymi w wywiadzie Armii Krajowej. W krótkim czasie obaj zdrajcy, na mocy wyroku sądu podziemnego, zginęli od kul żołnierzy AK. Wszystko to odbyło się zgodnie z naszym planem. Kolaborantów usunięto.

W nowo powstałej sytuacji Niemcy, uważający „Miecz i Pług" za własną organizację, zmuszeni zostali do prowadzenia bezpośrednich rozmów z pozostałymi przy życiu członkami kierownictwa „Miecza i Pługa" — w tym również z Hrynkiewiczem.

Były to ze strony okupanta przede wszystkim rozmowy sondażowe, dotyczące tendencji do kolaboracji, występujących w określonych kołach prawicy. W sprawie tej Słowikowski i Grad przedłożyli już wcześniej obszerny elaborat, adresowany do rządu hitlerowskiego. Temat ten, szerzej dotychczas nieznany, czeka jeszcze na opracowanie. Być może moja relacja, ujawniająca ten fakt, zachęci samego „Aleksandra" — Bogusława Hrynkiewicza — do chwycenia za pióro.

Ustaliliśmy na przykład, że władze hitlerowskie, licząc na pewne elementy, zamierzały utworzyć formację wojskową pod nazwą „Legionu Białoruskiego". Oczywiście, chodziło im przede wszystkim o mięso armatnie w sytuacji, gdy front na wschodzie trzeszczał już w szwach.

Centrala, uzyskawszy ode mnie informację o planach utworzenia tzw. „Legionu Białoruskiego", kategorycznie nakazała przeciwdziałać tej idei wroga. Hrynkiewicz musiał uprawiać istną żonglerkę polityczną, żeby sparaliżować zbrodniczy zamiar.

Powszechnie znana jest sprawa zdobycia przez wywiad Armii Krajowej informacji o produkcji pocisków rakietowych „V-1" i „V-2" oraz o lokalizacji produkujących je zakładów w Peenemünde i Bliznej. Tylko nieliczni wiedzą jednak, że jedne z pierwszych ścisłych danych o Peenemünde uzyskała właśnie komórka wywiadu „Miecza i Pługa" w okręgu bydgoskim; stąd wiadomość ta przekazana została Hrynkiewiczowi. Gwoli ścisłości: syn dowódcy bydgoskiego Okręgu „Miecza i Pługa" Trägera (nie mylić z wcześniej już wymienionym Trägerem, z którego pomocą zostałem Reichsdeutschem) — powołany do wojska hitlerowskiego, pełnił służbę w Peenemünde i na polecenie ojca zainteresował się, a następnie zebrał cenne informacje o „wunderwaffe". Informacje te, rzecz jasna, trafiły również do moich rąk, ode mnie zaś powędrowały do Centrali. Wywiad Armii Krajowej, penetrujący „Miecz i Pług" przez swoich ludzi, zyskał informacje z tego samego źródła. Tak więc dane o „V-1" i „V-2", jak również o bazach produkcyjnych w Peenemünde i Bliznej powędrowały przez Delegaturę do Londynu, a przez naszą komórkę — do Moskwy.

Uplasowanie się Bogusława Hrynkiewicza na znaczącej pozycji w kierownictwie „Miecza i Pługa", a wraz z tym zdobycie możliwości kontroli sieci wywiadowczej tej organizacji, otworzyło nam dopływ cennych informacji z wielu dziedzin.

(c.d.n.)

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

# A KRAWĘDZI (II)

Artur Jastrzębski

Jan Górec-Rosiński

## GAZELA Z PÓŹNEGO ZACHODU SŁOŃCA

*Gazelo moja o śpiewających oczach*
*Gazelo róż z nie napisanych ogrodów*
*twe oczy nie śpiewają pragnienia mym oczom*
*odpływa horyzont smutnym kluczem żurawi*
*znikły wybiegi w busz opadły licie akacji*
*stoimy pochyleni nad krzakiem dzikiego głogu*
*tu było wino weselne a jest cierń do krwi gotów*
*gazelo moja o śpiewających oczach*
*kochanko widnokręgów z późnego zachodu słońca*

# O paleniu gorzałki pomnażaniu fortuny i innych sekretach

Marian Janusz Kawałko

NIECHĘĆ do picia wody stanowiła znamienną cechę zarówno średniowiecznej, jak i staropolskiej obyczajowości. Już Leszek Biały odmówił papieżowi udziału w wyprawie krzyżowej do Palestyny, ponieważ brakowałoby mu tam rodzimego piwa i miodu. Natomiast Konrad wrocławski, gdy go na arcybiskupa Salzburga wybrano, rychło urząd swój złożył i do Polski powrócił, gdzie mógł, jak dawniej, piwo pszeniczne chmielone spijać.

Napój ten, znany już starożytnym Galom pod nazwą „cerevisia", przywędrował do nas jednak od Niemców, zapewne jeszcze pod koniec X wieku. Godzi się przypomnieć, iż chmielenie piwa podczas jego warzenia było rodzimym wynalazkiem i zastępowało dotychczasowy dodatek ziela zwanego bagnem zwyczajnym.

Niechęć do wody utwierdziła się w mentalności stanów uprzewilejowanych na tyle, że jeszcze w XVIII wieku kasztelan brzeski, Marcin Matuszewicz, użalał się w swoich pamiętnikach: *piwa nie było tylkośmy wodę pili, z czego dostałem wielkiej flegmy i zacząłem na zdrowiu słabieć.*

W wieku XIV nasze jadłospisy (piciospisy?) wzbogaciły się o jeszcze jeden trunek. Była nim

## gorzałka

Przyjmuje się, że tajniki jej palenia, a zapewne i oczyszczania, pierwsi opanowali nasi zachodni sąsiedzi, którzy jako surowca używali żyta lub pszenicy. Pamiętajmy jednak, że produkcję alkoholu z wina prowadzili także mieszkańcy średniowiecznej Modeny.

Według Hieronima Powodowskiego, gorzałka taką nosi nazwę, bowiem od ognia się zapala *a receptę na nią diabli w piekle wymyślili.* Natomiast Jakub Kazimierz Haur w jednym ze swoich dzieł podał inne objaśnienie: *Pewien człowiek, KA zwany, doszedł sekretu palenia gorzałki; potym przez zbyteczne iey zażywanie zaięła się w nim gorzałka, tak że zgorzał: a stąd (zgorzał Ka) gorzałka ma mieć swoje nazwisko.*

Nazywano ją też akwawitą lub przepalanką, zaś w języku prawniczym występowała jako sapiencja.

W Polsce szybko przyswojono technologię wytwarzania akwawity, wprowadzając niezwłocznie jej wyszynk w licznych karczmach; wzmiankowały o tym pisma z końca XV i początku XVI wieku.

O królu Jagielle pisano, iż lubił wieczorami popić, a ponieważ nie wypadało czynić tego w zamku, przeto zachodził często do karczmy pewnego księcia. Po zaspokojeniu apetytu zwykł mawiać: *Masz o tym wiedzieć, mój książe, że skoro kur zapieje i ranek brzaśnie, ja znowu jestem królem.*

Konsumpcja piwa i gorzałki musiała być znaczna także wśród stanu duchownego, skoro w piętnastowiecznej regule Trzeciego Zakonu św. Franciszka znajdujemy takie oto zdanie: *Bądźcie pilni, by sierca wasze nie były obciążone obżarstwem i też obłojstwem* (nadmierne spożywanie piwa — przyp. MJK) *albo pijaństwem".*

Jerzy Polański, zagorzały wielbiciel akwawity, ale poeta mierny, taką jej czynił reklamę:

*Onaż zgniłości każdą w żołądku wytrawi,*
*Ona y flegmy z piersi serconośnych zbawi,*
*Ta starości na twarzy mnożyć się nie daie,*
*Ta ciało z brudow czyści y piękną płeć daie.*

Wraz z liczebnym rozwojem browarów oraz gorzelni, zwiększała się konsumpcja ich wyrobów, a do tego potrzebne było odpowiednie

## szkło

Malowane szklenice znano u nas już w XVI wieku; stanowiły one wówczas symbol zbytku i wielkopańskiego luksusu. Początkowo sprowadzano je z zagranicy. Szkło jednak ze swej natury jest kruche, zaś obyczaj szlachecki nakazywał tłuc je tuż po opróżnieniu. Trudno się zatem dziwić, że liczne zawieruchy międzywojenne, podczas których sycono się z nawiązką jadłem i napitkami, pomniejszały sukcesywnie ilość szklenic, pucharów i kielichów. Do czasów nam współczesnych zachowały się tylko nieliczne, tzw. wilkomy cechowe, używane podczas różnych uroczystości rzemieślniczych. Mogły one pomieścić jednorazowo nawet 5 litrów napoju, a raczyło się z nich kolejno kilkunastu i więcej uczestników cechowego zgromadzenia. Do najczęściej eksponowanych naczyń tego typu należy wilkom cechu szewców poznańskich (z napisem: *Kto z tei sklenici pić bendzie, day Boże żebi buti robił do sta lat. Anno Domini 1561).*

Zmiany obyczajowości szlacheckiej w wieku XVII spowodowały, że gorzałka, której podwówczas znano kilkanaście gatunków, stała się powszechnym trunkiem warstw niższych. *Pija ją przeważnie naród pospolity; inni albo wcale jej nie używają, albo tylko w czasie wielkich mrozów* — notował w swojej relacji z pobytu w Polsce szlachcic francuski, Gaspar de Tende.

W wyposażeniu technicznym ówczesnych gorzelni nie notowano wyraźnego postępu. Doskonalono natomiast — choć powolnie — technologię wytwarzania, wprowadzano nowe receptury oraz surowce uzupełniające (nowe gatunki ziół i korzeni). Istniały przy tym potrzeby zebrania, usystematyzowania i opisania dotychczasowej wiedzy praktycznej z tego zakresu. Próby takie podejmowali z miernym skutkiem Gostomski, Herman i Haur. Autorem podręcznika dla wytwórców alkoholu był natomiast

## Jan Krystian Symon

Jego *Informacya praktyczna o paleniu wodek, pędzeniu dobrych alembikowych gorzałek y likworow z przyłączonemi wraz sposobami robienia różnego gatunku przednich essencyi na pożytek gospodarzom, osobliwie zaś pisarzom ekonomicznym y browaru dozorcom...,* wydana w roku 1774, musiała mieć duże wzięcie, skoro w późniejszym czasie zdecydowano się na jej trzykrotne wznowienie.

Ukazała się ta książka — by tak rzec — w samą porę. Mimo bowiem podniesienia podatku czopowego i szelążnego na sejmie w sierpniu 1766 roku, wzrosło nierówno więcej spożycie wszelkich trunków. Dość wspomnieć, że dochody ze sprzedaży alkoholi podniosły się z 1 275 000 złp w roku 1771, do ponad 2 mln złp w roku 1792.

A kim był autor wspomnianej 77-stronicowej broszury? Milczą o nim encyklopedie staropolskie i współczesne, krajowe i zagraniczne. Na podstawie informacji bibliograficznych i katalogowych lubelskich bibliotek wolno przypuszczać ostrożnie, iż mógł to być Polak niemieckiego pochodzenia. Przemawiałyby za tym dwie pierwsze jego książki wydane w języku niemieckim. Jedna z nich nosiła tytuł *Die Kunst des Bierbrauens nach wichtigen Gruenden der Chymie und Oeconmie* (Drezno 1771). Drugą przełożył na język polski Maciej Drost i wydał w roku 1775 jako *Informacyę praktyczną względem gospodarstwa, czyli książkę ekonomiczną na pożytek wieyskim y mieyskim gospodarzom, tak w Polszce, iako y na Litwie.* Ze wzmianek zawartych w książeczce, którą zacytowałem na wstępie rozdziału, wynika, że był Symon właścicielem gorzelni, a ponadto odbywał rozliczne podróże (m.in. do gorzelni wojewody ruskiego) celem podpatrzenia nowych rozwiązań konstrukcyjno-technologicznych w zakresie produkcji piwa i wódek.

Przestańmy jednak snuć domysły o Symonie. Zajrzyjmy lepiej do jego podręcznika, który dzisiaj można traktować jako

## pierwszy elementarz

dla gorzelanych i browarników. Już we wstępie czytamy, co następuje: *Przedystillowawszy wiciągniony sok ze zboża, y wodą skropioną mąkę, iuż przez dostateczną fermentacyą spirytusową w piwo lub wino przekształconą, odbieramy w naczynie ognisty spiritus, lecz wiele jeszcze w sobie wody maiący. Gdy zaś od tey wody nieco oddzielony y oczyszczony będzie imię wodki nabiera.*

Według Symona wódkę palić można z każdego gatunku zboża. Przedtem jednak należy mąkę z wodą we właściwym stosunku rozpuścić, dodać ześrutowane zboże, a uzyskane ciasto wrzątkiem sparzyć. Można też dla lepszej jakości produktu finalnego dodać *w korzec zarobionego zboża dwie kwarty, albo naywięcej 4 funty anyżu tłuczonego, w ten czas gdy się gorącą wodą zaprawi zboże, tak aby to razem zarobiło. (...) Znak dobrze sparzonego zboża iest, kiedy w pułgodzinę po zaprawieniu brunatne będzie, y słodkiego nabierze smaku.* Jak taką masę się zarabia, czyli fermentuje — rzecz powszechnie wiadoma. Po tym zaś *robotę natychmiast w kocioł kłaść trzeba skoro piana upadać zaczyna, a robota klarowniele, (...) Więc w kotle powinno się zawsze zostawić mieysce (...), aby wzrastająca robota, ani się w szyię ani w kapelusz nie pchała.* Tu także wyjaśnienie zbędne się wydaje,, iż owa szyja i kapelusz bynajmniej nie do gorzelanego należą.

Jeżeli czystą wódkę chcemy uzyskać, *przez filtrum ią w konew puścić trzeba, które albo z kuczbai, albo z sukna bydź może (...). Będzie nadto śmierdząca* — powiada Symon — *wrzucają się cebule, lecz trzeba znowu umieć smak y zapach cebuli wygubić.*

Skoro o przepisach sekretnych mowa, jeden z nich polecam szczególnie. Dotyczy on sposobu przyrządzania specjalnej esencji, występującej u Symona jako

## nalewka drewniana

Do jej przygotowania potrzeba: 6 łutów drzewa gwajakowego (1 łut = 12,7 g), 4 łuty drzewa sassafrasu, po 2 łuty drzewa sandałowego, jaskółczego ziela i korzeni koromandelskich oraz po jednym łucie kory aloesu, drzewa różanego i jałowca. Surowce należycie pokroić, skropić dobrym likworem (np. Nitri Fixi), na noc je w spokoju zostawiając. Następnie całość zalać winnym spirytusem i w cieple umieściwszy czekać, aż nabierze ciemnoczerwonego zabarwienia. *Iest ta Essensya nader czyszcząca krew, zatym na parchy, krosty, y France* (podkr. MJK) — *słowem na wszystkie zepsucia krwi zażyta bydź może* — przez co dodatkowej rekomendacji mojej nie wymaga.

Działkowicze i sadownicy przyjmą zapewne z pełną wiarą (bo słowu drukowanemu wierzyć trzeba)

## sekret ogrodowy

wyjaśniający, jak postąpić z drzewem owocowym, gdy *rodzi obficie a frukta są złe y żadnego nie maią zapachu.*

Otóż wystarczy przewiercić pień takiego drzewa od wierzchu aż do korzeni, a powstały otwór napełnić wodą zaprawioną miodem (może być trójniak) lub cukrem. Radzi się też *wodę pachnącą zrobić przydawszy trochę szafranu* i innych ingrediencji, wreszcie *kołkiem tegoż drzewa dziurę zagłobić,* a efektów rychłych czekać. Operację przeprowadzić z początkiem marca, zanim drzewa rozwijać się zaczną by już w lecie doskonalsze owoce spożywać dogadzając własnemu i innych podniebieniu.

Póki jednak jeszcze mróz ziemię trzyma, warto przyswoić inny sekret pomnożenia fortuny, w którym wykłada się, jak z *jednego półzłotka lub czerwonego złotego dwa zrobić.* Receptę przytaczam bez skrótów, uspokajając zbyt gorące umysły, iż ku pożytkowi powszechnemu już w 1782 roku ją wydano „z Pozwoleniem Zwierzchności".

*Wziąść deszczkę, y wbić w nię trzy szpilki krótkie, w tryangul* (w trójkąt — przyp. MJK) *tak żeby na nich pułzłotek lub złoty móg leżeć. Wziąść potym kwiatu siarczanego, którego w każdej Aptece dostaniesz bardzo tanio, przesuszywszy, nasypać go pod pułzłotkiem na szpilkach leżącym, tak żeby się go pułzłotek dotykał y tyląż kupkę kwiatu na wierzch monety nasypać. Zapalić potym tenże kwiat siarki — gdy wszystek on w pułzłotek wsiąknie, wrzucić pułzłotek dla ostygnięcia i obmycia w zimną wodę, który na dwa się rozdzieli. Każdy z nich mieć będzie swoy zwyczajny stępel z obu stron y obydwa razem więcej ważyć będą, niż przed tym jeden.* Fałszerstwo zatem wykluczone, metafizyczne zjawisko takoż — a jeśli pierwsze próby się nie powiodą, monetę zmienić należy i doświadczenie powtórzyć, bowiem

*Kto według potrzeby pieniędzami dzwoni*
*Ten się tez większego kosztu ochroni*
*Kto żałuje, a nie waży*
*Ten niewiele na zysk smaży*

Zatem już zaraz niech każdy umyślnego do apteki po odczynniki wyśle. Warto też mieć pod ręką numer telefonu do straży pożarnej oraz pogotowia, na wypadek, gdyby wraz z kwiatem siarczanym deska doświadczalna oraz inne wokół sprzęty się zapaliły, lub domownicy z nadmiaru fortuny pomdleli. Wesołych Świąt, Drodzy Czytelnicy!

Rys. L. Szalecki

Kamena str. 10

WIEŚ TWORZĄCA W „KAMENIE"

# ZIEMIA I PIEŚŃ

ROK XI GRUDZIEŃ 1975 NR 33

# SPÓJRZMY PRAWDZIE W OCZY

**Roman Rosiak**

ZAMIESZCZONY w poprzednim (32) numerze „Ziemi i Pieśni" list Bronisława Pietraka pt. „Gdzie jesteście poeci ludowi"? spotkał się, jak się należało spodziewać, z żywą reakcją jego kolegów po piórze. Z nadesłanych listów i wypowiedzi wybraliśmy dwie pozycje: Antoniego Piepera i Zygmunta Kupisza. Publikujemy je na zasadach „wolnej trybuny".

Pozostawienie pełnej swobody dyskusyjnej nie przeszkadza jednak w zasygnalizowaniu pewnych zjawisk. Otóż pisarze ludowi główne źródło „zła" widzą w rosnącej z dnia na dzień przewadze liczebnej plastyków w Stowarzyszeniu Twórców Ludowych, zbyt słabej trosce Zarządu Głównego, Biura ZG STL, wydawnictw i kompetentnych czynników o zabezpieczenie ich publikacji. Aktualną sytuację literatury ludowej w porównaniu do okresu sprzed 10 lat oceniają jako regres. Brak możliwości wypowiedzenia się na łamach prasy, nie mówiąc już o tomikach indywidualnych i antologiach, wyraźnie ich zniechęca do kontynuowania twórczości i skłania do użalania się i szukania winnych wyłącznie poza własnym środowiskiem pisarskim. A jak jest w rzeczywistości? Czy ten pesymizm jest uzasadniony?

## STOWARZYSZENIE CZY ZWIĄZEK ZAWODOWY?

PYTANIE Bronisława Pietraka: „Gdzie jesteście poeci ludowi?" jest spowodowane ich milczeniem. Przykra to sprawa. Poeci ludowi mieli przez siedem lat swoją organizację literacką. Powstanie STL zachwiało rozwój zrzeszenia literatów. Od tego czasu (1968) przyjmowano na członków także rzeźbiarzy, garncarzy, tkaczy, plastyków obrzędowych, kraszankarzy, hafciarki, zdobników porcelany, plecionkarzy, malarzy, kowali i ponadto jeszcze przedstawicieli 16 innych dyscyplin, reprezentowanych przez jednego, dwóch czy trzech członków.

Stworzyło to, moim zdaniem, nie Stowarzyszenie, a raczej Związek Zawodowy Twórców Ludowych. Taka zaś organizacja mało ma wspólnego i z poezją i z pisarstwem w ogóle. Kierownictwo STL zajęło się głównie plastykami, gdyż „Cepelia" przyjmuje ich prace i płaci, a więc są korzyści materialne. W rezultacie o poetach zapomniano, bo poezja korzyści finansowych nie przynosi, a, odwrotnie, wymaga poważnych nakładów na biuletyny, tomiki, almanachy itp.

Teraz rodzi się pytanie; w jaki sposób poeci ludowi mają dać znać o sobie? W jakim czasopiśmie? W początkach częściej wychodziły „Biuletyny Informacyjne STL", ukazywały się kolumny poświęcone poezji ludowej w „Zielonym Sztandarze", „Chłopskiej Drodze", „Tygodniku Kulturalnym"... Obecnie i tego nie ma. A przecież żaden z nas nie będzie przez megafon mówić, że istnieje i tworzy. Trzeba apelować, aby Zarząd Główny i Biuro STL pomyślały o tym, że ponad 150 pisarzom potrzebna jest możliwość wypowiadania się w druku w „Biuletynach STL", zbiorach indywidualnych i almanachach. Wtenczas okaże się, że jesteśmy, wówczas powiemy, co myślimy i czego chcemy.

**Zygmunt Kupisz**
Łany, gm. Garbów

Jan Pocek

## NOWOROCZNA MODLITWA

*Drogi Nowy Roku,*
*co z wieczności idziesz,*
*nasyp mi pieniędzy*
*w malowaną skrzynię.*

*Chciałem babie sprzedać*
*czerwone korale,*
*dobrze je schowała,*
*nie mogę ich znaleźć.*

*Więc już nie ma za co*
*popić i pośpiewać,*
*i dzieciska płaczą,*
*że nie mają chleba.*

*Wsyp mi więc, kochany*
*chociaż z pół miliona,*
*niech dzieci nie płaczą,*
*niech się śmieje żona.*

*I na piersi znowu*
*powiesi korale,*
*może nas pokuszą*
*na dzieciątko małe?*

Franciszek Łojas Kośla

## PODŁAZNIK

*We wilijny cas*
*tęgi mróz*
*wyrzeźbiył dziewiyńciór na sybie*
*a na nowyzsyj kwatyrze*
*leluje.*
*Zaźrał do izby.*

*Cizby podłaźnik?*
*Ba, wiera przysel,*
*ozesul gorzć ziornek owstanyk,*
*prasnon okem*
*na smrecek ubrany*
*w kącie:*

*Na scyńście, na zdrowie,*
*na to Boze Narodzynie,*
*coby sie wom darzyło, mnozyło*
*sićko stworzynie!*
*Cobyście mieli telo cielicek,*
*jako w lesie jedlicek!*
*Cobyście mieli telo wołków,*
*jako na dachu kołków!*
*Cobyście mieli w kozdym kątku*
*po dzieciątku*
*a za piecem troje...*
*Sjon ze kłabuka podłaźnicke*
*i dziyrgnon za sosrąb nad dźwyrze,*
*jacy siod s nami wiecerzać.*

**Poronin**

Jeśli cofniemy się do punktu wyjścia, tj. do roku 1965, trzeba bezstronnie przyznać, że start pisarzy ludowych wypadł bardzo imponująco. Gdyby tylko ukazać bilans pozycji Wydawnictwa Lubelskiego, przedstawiałby się on następująco: rok 1965 — antologia „Od Bugu do Tatr i Bałtyku"; rok 1966 — „Wieś Tworząca" t. II, „Nasze wesele" Pauliny Hołyszowej, „Szarotki" Piotra Krzykalskiego, antologia „Wiersze proste jak życie"; rok 1968 — „Wieś Tworząca" t. III, „Wesele kraczkowskie" Walentego Kunysza i „Dzień walki" Stanisława Buczyńskiego; rok 1969 — antologia „Chłopski znak"; rok 1970 — „Wieś Tworząca" t. IV, „Astry" Seweryna Skulskiego; rok 1972 — „Koniczyna" Józefa Małka; rok 1974 — „Wieś Tworząca" t. V.

Tak więc w ciągu minionych 10 lat tylko Wydawnictwo Lubelskie opublikowało pisarzom ludowym 13 pozycji, z czego 7 to antologie, zaś 6 — tomiki indywidualne. Jest też jednak bardzo wyraźna różnica pomiędzy pierwszą i drugą „pięciolatką": o ile w I wydano aż 9 książek, o tyle w II — już tylko 4. A więc regres...

Trzeba pamiętać, że w minionym 10-leciu literaturą ludową zajęły się przecież, po Lublinie, i inne ośrodki. Dwa wydania „Antologii współczesnej poezji ludowej" i kilka tomików indywidualnych — w LSW, dwa wydania antologii „Pogłosy ziemi" — w Wydawnictwie „PAX", kilka tomików z wydawnictw regionalnych, np. „Wybór wierszy" Teofila Ruczyńskiego („Pojezierze"), „Procem noce" Alojzego Nagla i antologia „Ma jesma od morza" (Zrzeszenie Kaszubskie), nieomal bibliofilski tom poezji i prozy Emilii Michalskiej „Zapach ziemi" (Komitet Organizacyjny X Jubileuszowego Tygodnia Kultury Beskidzkiej w Wiśle), antologia poezji ludowej Opolszczyzny — „Ludowe żniwo literackie" w oprac. Zbyszka Bednorza (Instytut Śląski w Opolu), wybór wierszy Franciszka Becińskiego „Liść z polnej gruszy" (Kujawsko-Pomorskie Towarzystwo Kulturalne w Bydgoszczy) i szereg innych.

Nie jest to dorobek mały. Przeciwnie, trzeba podkreślić, że w dziedzinie pisarstwa ludowego rozpoczęto nie „partyzantkę", ale długofalową, obliczoną na lata planową działalność. Przecież po serii „Wsi Tworzącej", która zamknęła się pięcioma tomami,

Dokończenie na str. następnej

## SŁOWA BEZ POKRYCIA

DO ARTYKUŁU kol. Pietraka chciałbym i ja dorzucić kilka słów. Należę już od roku 1965, początkowo do założonego wówczas Międzywojewódzkiego Klubu Pisarzy Ludowych w Lublinie, a następnie do Stowarzyszenia Twórców Ludowych. Nie znajdując zrozumienia dla mego pisarstwa (poezji, legend i bajek, wspomnień i opowiadań) w swoim regionie (Gdańsk) miałem nadzieję, że w okresie przynależności do MKPL twórczość moja doczeka się prędzej czy później publikacji. Nadzieja ta dawała mi asumpt do dalszej twórczości. Dawniejsze PWRN w Lublinie, a obecnie Urząd Wojewódzki — Wydział Kultury i Sztuki rzetelnie opiekował się nami i zawsze w budżecie swoim znajdował środki finansowe na podtrzymanie naszej działalności, za co mu niech będą szczere dzięki.

Sytuacja zmieniła się na skutek rozszerzenia działalności Klubu na cały kraj, przyjęcia na członków również artystów ludowych innych dyscyplin.

Zarząd Główny, znacznie powiększony, wraz z rozbudowanym aparatem administracyjnym, siłą rzeczy musi starać się o sprawy większości swoich członków. To zniechęca tych, którzy wierzyli w szumnie głoszone na wszystkich poprzednich zjazdach deklaracje o konieczności poparcia pisarstwa ludowego. Będąc w ub. roku na Sympozjum Twórców Ludowych w Białymstoku, wysłuchałem sporo referatów na temat twórczości ludowej, nawet o pisarstwie. Ale referaty referatami, a — jak dotąd — słyszę tylko słowa, które raczej nie mają pokrycia w codziennej działalności.

Pięknie to brzmiało, gdy słyszałem na niejednym zjeździe MKPL lub STL, że najlepszą legitymacją członka STL jest jego twórczość, opublikowana w mającej co roku wychodzić antologii „Wieś Tworząca". Dusza rosła. Ale w miarę rozrastania się Stowarzyszenia antologia ukazywała się rzadziej, a w chwili obecnej nie wiadomo czy na jej miejsce i kiedy ukaże się antologia tematyczna. Działalność wydawnictwa STL prawie więc upadła.

Należało oczekiwać poprawy, gdy Ministerstwo Kultury i Sztuki od stycznia 1974 roku wzięło nasze Stowarzyszenie pod opiekę i objęło swoim budżetem. Lecz czy dla nas, poetów, coś się przez to zmieniło na lepsze? Nie widać poprawy. Śmiem nawet twierdzić, że lepiej się nami opiekowało b. PWRN w Lublinie. Dlaczego? Jeżeli im się poezja ludowa nie podoba, niech powiedzą nam to prosto w oczy, bo obiecywanie, a nie spełnianie tych przyrzeczeń uważamy po prostu za lekceważenie nas.

Skądinąd wiem, że niektóre wydawnictwa nie odpowiedziały na propozycję STL w sprawie druku poezji ludowej lub odpowiedziały odmownie. Dlaczego? Czyżby dlatego, że tomiki poezji są deficytowe? A cała kultura, na którą państwo nasze łoży miliardy złotych, przynosi dochód materialny?

A propos środków masowego przekazu, to z żalem muszę stwierdzić, że zbyt rzadko propagują one nasze utwory, zwłaszcza telewizja. Folklor — owszem, lecz tańce ludowe, śpiewy, czasem pokażą artystę ludowego. Ale recytacje wierszy, gawęd albo legend w szklanym ekranie rzadko widuję.

Nie mogę inaczej myśleć jak o recesji publikacji poezji ludowej, gdy dowiedziałem się, że Zarząd Główny opracował plan wydawniczy tomików indywidualnych, ograniczonych do objętości jednego arkusza wydawniczego, czyli kilkunastu stron. Może to być wystarczające dla małopłodnych poetów, którzy będą i z tej broszurki zadowoleni, jednak nie może stanowić prezentacji całego dorobku pisarskiego poety, który napisał 200, 300 lub więcej wierszy, w tym znaczną liczbę godnych publikacji. A czy pomyślano kiedykolwiek o tych, którzy równocześnie piszą gawędy, wspomnienia, pamiętniki, legendy, bajki, opowiadania? Czy ich prace mają pozostać na zawsze w zapomnieniu?

**Antoni Pieper**
Jastarnia

# SPÓJRZMY PRAWDZIE W OCZY

Dokończenie ze str. poprzedniej

przyjdzie kolej na antologie tematyczne, w ramach „Lubelskiej Biblioteki Ludowej" w produkcji znajduje się już XIX tom — „Chryzantemy" Bronisława Pietraka. Stowarzyszenie Twórców Ludowych otrzymało zezwolenie na otwarcie nowej serii wydawniczej — „Biblioteka STL", przy czym warto dodać, że spośród planowanych (tymczasem) 15 tomików, dwa — Adama Pacha i Andrzeja Skupnia-Florka — są już w druku. Stowarzyszenie też już od 1971 r. oddaje do rąk swoich członków „Biuletyn Informacyjny" (obecnie wyszedł numer 9), gdzie dużo miejsca poświęca się literaturze. A przecież zarówno Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, jak też edytorskie placówki regionalne mają w swych planach również i pozycje z zakresu pisarstwa chłopskiego.

Celowo tyle miejsca poświęciłem informacjom o dorobku wydawniczym ostatnich 10 lat, by łatwiej było wyważyć nurtujące pisarzy pytanie: postęp czy regres? Trudno odpowiedzieć. Nie ulega jednak wątpliwości, że poeci ludowi zbyt łatwo kładą przysłowiowy „krzyżyk" na bezdyskusyjnym, poważnym dorobku, na który przecież składa się w sumie kilkadziesiąt książek!

Nie inaczej jest z prasą. To fakt, że kolumny poświęcone poezji ludowej ukazują się teraz rzadziej w „Chłopskiej Drodze" czy „Zielonym Sztandarze", zaś z niektórych pism, np. „Tygodnika Kulturalnego", zginęły całkowicie. Ale czy któryś z poetów zadał sobie trud znalezienia głównej (być może — nie jedynej) przyczyny tego stanu? Wydaje się, że pora nazwać fakt ten po imieniu: prasę ludową (i nie tylko) zaczęła zalewać fala grafomaństwa. Owszem, trafiały się i trafiają dalej utwory dobre, nawet znakomite, ale trzeba ich szukać w powodzi setek czy tysięcy miernot, okolicznościowych rymowanek i wątpliwej wartości utworów pisanych metodą szybkościową w oparciu o... kalendarz (wierszyk na Święto Kobiet, 1 Maja, Dzień Zwycięstwa itp.).

Śmiem twierdzić, że największymi wrogami samych siebie okazali się właśnie... poeci — przez wysyłanie nadmiernej liczby wierszy, brak ich starannej selekcji, troski o dopracowanie poziomu ideowo-artystycznego, bezustanne monity, dopominanie się o ocenę itd.

Spróbujmy uzmysłowić sobie tylko jeden fakt: poetów zrzeszonych w STL (a przecież wiersze nadsyłają także i niezrzeszeni) jest około 160. Gdyby więc każdemu z nich (co przecież chyba nikogo nie usatysfakcjonuje) trzeba było opublikować tylko po jednym wierszu rocznie, ile miejsca w każdym numerze pisma należałoby poświęcić wyłącznie poezji ludowej?

Zastanawiający jest również fakt, że poeci widzą wokół siebie tylko cienie, że zapominają o niewątpliwych blaskach, np. o tym, że co niedzielę czy święto ich utwory wykorzystywane są przez Polskie Radio w audycji „Kiermasz pod Kogutkiem" i w innych, regionalnych słuchowiskach. A czy doroczne Nagrody Artystyczne im. J. Pocka (po 10 000 zł), konkursy, zapraszanie pisarzy na festiwale i kiermasze, targi i wystawy, wreszcie organizowanie setek spotkań autorskich (trzeba lojalnie przyznać, że niejednokrotnie sami autorzy potrafią takie spotkania sobie zorganizować), dających nie tylko moralną satysfakcję, ale i skromny zysk materialny (przeciętnie 300 zł za spotkanie) — to sprawy nieistotne? Owszem, są tacy, którzy od kilku lat nie mieli żadnego spotkania, ale wielu jest i takich, którzy zapisali ich na swoim koncie po kilkaset, a nawet powyżej tysiąca! A więc i tu mamy do czynienia z problemem...

Spójrzmy prawdzie w oczy, z pewnością nie będzie to spotkanie najprzyjemniejsze. Jeśli trosce o liczbę publikacji książkowych i prasowych zacznie towarzyszyć coraz większa troska samych pisarzy (oczywiście edytorów i redaktorów w tym samym stopniu) o jakość utworów, śmiało można zakładać, że słowo „regres" w odniesieniu do literatury ludowej trafi do lamusa.

**Roman Rosiak**

Rzeźby w drewnie Aleksandra Fijałkowskiego z Przybysławic koło Garbowa

## MOJA WIEŚ

MUZEUM Wsi Lubelskiej ogłosiło 1 listopada 1975 r. konkurs na pamiętniki pt. „Moja wieś dawniej i współcześnie" dla mieszkańców województw: bialskopodlaskiego, chełmskiego, lubelskiego, siedleckiego, tarnobrzeskiego i zamojskiego. Objętość i forma pamiętnika, jak też czasokres objęty zapisem, są dowolne. Prace konkursowe należy nadsyłać w czytelnym rękopisie lub maszynopisie do dnia 30 VI 1976 r. pod adresem: Muzeum Wsi Lubelskiej, ul. Kalinowszczyzna 13 (Dworek Pola), 20-129 Lublin — z dopiskiem na kopercie: „Pamiętnik". Pracę konkursową należy opatrzyć godłem i dołączyć do niej zaklejoną kopertę z tym samym godłem z wypełnioną ankietą dla uczestników konkursu. Zarówno ankietę, jak też wszelkie inne informacje związane z konkursem można zdobyć pod wspomnianym adresem, bądź za pośrednictwem telefonu — Muzeum Wsi Lubelskiej w Lublinie 294-13.

Organizatorzy konkursu — na życzenie autorów — gwarantują dyskrecję i anonimowość. Przy ocenie prac brane będą pod uwagę następujące kryteria: wartości poznawczo-faktograficzne, szczerość, autentyczność i prostota wypowiedzi, konkretność i plastyczność ukazania środowiska, rodziny, miejscowości, postaw obywatelskich na tle zachodzących przemian, jak też ewentualne walory językowe. Zarówno jednak brak wprawy w pisaniu oraz błędy językowe nie będą miały wpływu na ocenę pamiętnika.

Konkurs zostanie rozstrzygnięty do dnia 31 XII 1976 r., zaś na nagrody przewiduje się następujące kwoty: I — 5 000 zł, dwie II — po 4 000 zł, trzy III — po 3 000 zł oraz pięć wyróżnień — po 1 000 zł, z tym że w zależności od poziomu i liczby prac sąd konkursowy może dokonać innego podziału nagród. Wszystkie nadesłane prace konkursowe przejmie archiwum Muzeum Wsi Lubelskiej dla celów badawczych i ewentualnego wykorzystania najlepszych pamiętników w druku.

## DWA KONKURSY

## DZIECKO

MINISTERSTWO Kultury i Sztuki, Stowarzyszenie Twórców Ludowych, Muzeum Etnograficzne w Toruniu i „Gromada — Rolnik Polski" ogłaszają konkurs ogólnopolski dla twórców ludowych w dwóch kategoriach: I. Dziecko w sztuce ludowej tj. w rzeźbie, płaskorzeźbie, malarstwie i tkactwie (tylko dywany dwuosnowowe). II. Twórczość ludowa dla dziecka (a więc: zabawki ludowe, kukiełki do teatrów ludowych, instrumenty dźwiękowe, jak gwizdki, fujarki, lalki i figurki wykonywane z tradycyjnych surowców, stroje i ozdoby strojów dziecięcych, pierniki i ciasto o tradycyjnych kształtach i sposobach dekoracji itp. robione dla dzieci na specjalne okazje).

Każdy twórca ludowy może wziąć udział w obu kategoriach oddzielnie, zgłaszając w każdej z nich do pięciu prac, z tym że praca składająca się z kilku części stanowiących jednorodną całość liczy się jako jedna. Każda praca musi być zaopatrzona w następujące dane: imię i nazwisko twórcy, data urodzenia, wykształcenie, zawód wykonywany obecnie lub przed emeryturą oraz dokładny adres zamieszkania. Prace należy dostarczać pod adresem: Muzeum Etnograficzne Wały Sikorskiego 19, 87-100 Toruń, w terminie do 1 II 1976 r. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi do dnia 1 III 1976 r. Prace wybrane na wystawę eksponowane będą w 1976 r. w Warszawie, Krakowie, Toruniu i innych miastach. Zwrot prac nie zakupionych nastąpi do 1 VI 1976 r. Dla zwycięzców konkursu przewiduje się osobno w wymienionych 2 kategoriach następujące nagrody: I — 5000 zł, II — 3000 zł, III — 2000 zł i wyróżnienie — 1000 zł, przy czym jury może zmienić ilość i wysokość nagród w zależności od poziomu konkursu. Bliższe informacje można uzyskać pod wskazanym wyżej adresem Muzeum Etnograficznego w Toruniu, bądź też drogą telefoniczną pod numerem 280-91.

Władysław Sitkowski

## DO SIEGO ROKU!

*Gdy będziesz szedł, Nowy Roku,*
*to wstąp do mnie,*
*moja chata dla wszystkich*
*gościnna.*
*Pogwarzymy po chłopsku,*
*wypijemy po staropolsku*
*pod boczki, pod pszenny,*
*pod uśmiech codzienny*
*i pod sąsiedzką przyjaźń.*
*Pójdę z tobą, jak syn wierny,*
*przez smutki, radości,*
*a potem stanę u progu*
*i znów — Do Siego Roku!*

## CHOINKOWE TRADYCJE

*Taka już tradycja*
*w tym polskim narodzie:*
*gdy nadchodzą święta,*
*to choinka w modzie.*

*Z toporami pędzą*
*do lasu Herody:*
*sto jodeł otrupią,*
*zaś jedną — na Gody.*

*A gdy betlejemska*
*już gwiazda zapłonie,*
*wyrusza straż leśna*
*i dzwonią turonie.*

*Choinkę cackami*
*przybraną i złotem*
*za tydzień zobaczysz*
*już nagą pod płotem.*

*Cóż, taka tradycja*
*i ludzka to radość,*
*lecz las na tym cierpi*
*i świąt takich ma dość!*

Zwierzyniec

Wanda Czubernat

## KOLĘDA NIE TYLKO O MURARZU

*Lezoł se murorz*
*Pod państwowym murem,*
*A tu z furgotem*
*Cosi leci z góry:*
*Ani to wąsów,*
*Ani to brody,*
*Ani to stare,*
*Ani to młode.*
*Co to może być?*
*Panie Boże świyć...*
*Jo jest Gabryś Janioł, gloryja!*
*Po świecie uganiom, gloryja!*
*Skrzydła mi się chwiejom,*
*Ocy mi ciemniejom,*
*Opili mnie robotnicy,*
*Ładowace i rzeźnicy.*
*Dali łyknąć dyrektory,*
*Cobyk godać, nie był skory,*
*Święta idom przecie, gloryja!*
*Każdy cosi do dom wlece*
*gloryja!*

Raba Wyżna

Józef Małek

## UCZCIWY

ZARAZ z samego rana prezes naszej spółdzielni w Plewniarce Dużej zawołał nas do swojego gabinetu na tajną naradę. Kiedy zebraliśmy się wszyscy, prezes szeptem zagaił:

— Wiecie, po co was wezwałem? Nie? Otóż właśnie, nie wiecie! Chodzi mi o Strusia. Postanowiłem go zwolnić.

— Zwolnić? Dlaczego? — wyrwał się Pączek.

— No wiecie, jakby to powiedzieć? Nie nadaje się do nas. Za uczciwy. Nie można z nim nic, no, już wiecie... tego...

— Tak racja. — Nie można — zgodziliśmy się.

— Ale co będzie — zauważyłem — jeśli Struś zacznie się skarżyć, że zwolniliśmy go za uczciwość.

— No wiecie! — zawołał prezes. — Byliście głupi i jesteście głupi! A kto mu uwierzy, że on, pracownik naszej spółdzielni mógł być uczciwy?

Boży Dar, woj. lubelskie

Autonomiczny dodatek „Kamieny" „Ziemia i Pieśń"" pod redakcją Romana Rosiaka.

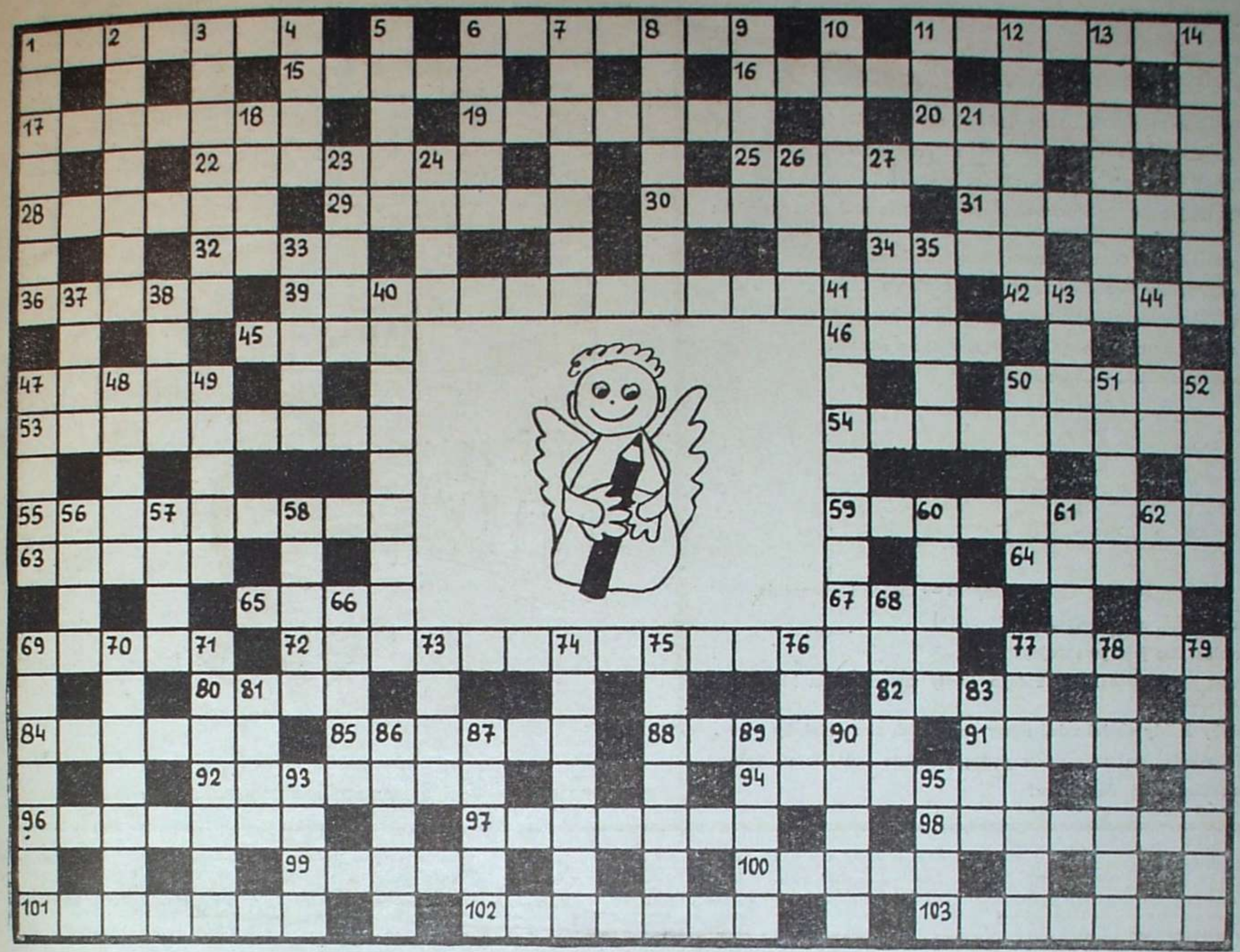

# Krzyżówka (nr 26)

**Poziomo:** 1. Oleńka w sfilmowanym „Potopie"; 6. wigilijny jest szczególnie uroczysty; 11. strona w sądzie; 15. ciek wodny; 16. pochodna kwasów i alkoholi; 17. oddział chorób wewnętrznych w szpitalu; 19. ząb przedni; 20. nieokrzesany, wulgarny człowiek; 22. rejestr spraw sądowych w danym dniu; 25. kawałek , bryłka 28.krasnoludek, gnom; 29. rzeczy konkretne; 30. imię autora powieści „Zaklęte rewiry"; 31. czołowa polska piosenkarka; 32. główna część świątyni greckiej; 34. urok, powab; 36. ufność; 39. ograniczenie zbrojeń na danym terytorium; 42. filmowy Grek; 45. wartość wyrażona w pieniądzach; 46. wytrzymałość, odporność, siła; 47. podściółka dla inwentarza domowego; 50. okres po którym powtarzają się podobne do siebie zaćmienia Słońca i Księżyca; 53. płuc lub papierosa; 54. daje orzechy laskowe; 55. „złoty młodzieniec" w stylu amerykańskim; 59. nie zabudowana przestrzeń przed fortyfikacjami; 63. część Talmudu; 64. pieniądze metalowe; 65. ptak nie latający; 67. jacht Teligi; 69. jeszcze nie drzewo; 72. odbudowywanie, przywracanie czemuś dawnego wyglądu; 77. tonacja muzyczna; 80. furia; 82. włoski reżyser filmowy („Posada" i „Narzeczeni"); 84. miejsce najcięższych kar w Hadesie; 85. piastunki; 88. kierowany jest przez ministra; 91. nieproszony gość lub film Orsona Wellesa; 92. w zegarze; 94. poeta, członek Cyganerii warszawskiej (1822—1867); 96. łączenie różnych elementów w jedną całość; 97. konflikt, spór; 98. szybko się ulatnia; 99. nie jeden w złotówce; 100. domena Prousta czy też Fitzgeralda; 101. kotynent Kolumba; 102. gra Judyma w filmie Haupego; 103. danie jednej rzeczy za drugą.

**Pionowo:** 1. wybitny przedstawiciel symbolizmu rosyjskiego (1873—1924); 2. występuje w filmie; 3. w buddyzmie: stan najwyższej szczęśliwości; 4. założył gród nad Wisłą; 5. wybitny romantyk niemiecki, autor „Księgi pieśni", 6. lennik; 7. strojniś, modniś; 8. ludowy lekarz; 9. pewność siebie; 10. uginają się pod ciężarem świątecznego jadła; 11. na trasie Świnoujście-Ystad; 12. siedzi godzinami nad rzeką; 13. ofiarodawca, fundator; 14. państwo Straussów — kompozytorów; 18. ocena, opinia; 21. pozioma belka na maszcie; 23. Lupin; 24. słynny ekscentryczny malarz hiszpański; 26. autor „Miasteczka na dłoni"; 27. papier wartościowy; 33. budynek teatralny w starożytnej Grecji; 35. obrys, kontur; 37. atrybut krawcowej; 38. Rzym w oryginale; 40. gęstwina w głębi puszczy, 41. minerał, odmiana kwarcu; 43. wzór, wcielenie; 44. jednostka taktyczna w wojsku; 47. w oknie; 48. niewzruszona podstawa, fundament; 49. zbierała maliny; 50. mięso na smaczn- kotlet; 51. konkurent; 52. autorka powieści „Pewien uśmiech"; 56. imię męskie; 57. pomysł, koncepcja, 58. imię twórcy filmu „Siedmiu Samurajów"; 60. znany szachista lubelski; 61. drugi atrybut krawcowej; 62. ptak z nutą w nazwie; 66. surowiec włókienniczy; 68. apostoł, pierwszy papież; 69. cierpienie, męka; 70. cechuje dobrą drużynę piłkarską; 71. grudniowy solenizant; 73. materiał do ogrzewania mieszkania; 74. systematyczne ćwiczenia sportowe; 75. kryjówka, schowek; 76. przedmiot badań Demokryta; 77. najmniejsza możliwa ilość; 78. szczególny sen; 79. przezorność, rozsądek; 81. pęd rośliny drzewiastej używany do szczepienia; 83. minerał, inaczej łyszczyk; 86. np. zwrot: zbijać bąki; 87. atrybut sanitariuszy; 89. cicha umowa; 90. automatyczny człowiek; 93. siedziba Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości; 95. typ narracji w formie bezpośredniego potocznego monologu.

**Rozwiązanie szyfrogramu nr. 24:**

*Ukochałem lud biedny nad miarę,*
*Bom się jego pieśnią wykołysał...*
*Ukochałem zwyczaje i gwarę,*
*Które, dziecko, z piersi jegom wyssał.*
**Władysław Orkan**

Za prawidłowe rozwiązanie szyfrogramu literackiego nr 24 cztery bony książkowe po 40 zł każdy, wylosowali: Andrzej Pielecki, 20—334 Lublin, Droga Męczenników Majdanka 34/31; Urszula Buchoska, 17—100 Bielsk Podlaski, ul. Krzywa 4; Tadeusz Jarząbski, 15—395 Białystok, ul. Czarna 8; Paweł Zawisza 22-200 Włodawa, Al. Wyzwolenia 56.

**PRENUMERUJ „KAMENĘ"!**

**Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich**
**Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski**

Redaguje zespół: Maria Bechczyc-Rudnicka, Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie kolegium redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) i Maciej Podgórski. Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Cena prenumeraty krajowej rocznie 78 zł, półrocznie 39 zł, kwartalnie 19,50. Prenumeratę przyjmują oddziały: RSW „Prasa—Książka—Ruch" oraz urzędy pocztowe i doręczyciele w terminach:
— do dnia 10 każdego miesiąca (z wyjątkiem grudnia) poprzedzającego okres prenumeraty.
Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje i organizacje społeczno-polityczne oraz wszelkiego rodzaju inne zakłady pracy składają zamówienia w miejscowych Oddziałach RSW „Prasa—Książka—Ruch".
Zakłady pracy w miejscowościach, w których nie ma Oddziałów RSW oraz prenumeratorzy indywidualni zamawiają prenumeratę w urzędach pocztowych lub u doręczycieli.
Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych RSW „Prasa—Książka—Ruch" ul. Wronia 23, 00-958 Warszawa.
Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14—16

Wydawca: RSW „Prasa — Książka — Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4. Zam. 2793. 10.XII.75

Numer łamał Mieczysław Psujek, drukował zespół pod kier. Eugeniusza Kurędy

Nr indeksu: 36009/3625

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Telefony: sekretariat, sekretarz redakcji i naczelny redaktor 255-93 dział publicystyki i literacki 275-35.
**Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.**

Ryszard Dunin

# Mądrości samochodowe

Lepiej z mądrym kierowcą siedzieć, niż z głupim jechać.

Nam się zrobiło ciasno, dla ciebie znalazło się miejsce.

Kierowca medytuje, samochód żre benzynę.

Nie znając natury kierowcy nie wchodź mu w drogę, nawet na pasie przejść.

Samochód ma duszę i rozum, kierowca nie zawsze.

Po kradzieży samochodu nie warto ryglować drzwi garażu.

Sąsiadka osiągnęła stan ekstazy: kupiła samochód.

Znajoma patrzy w oczy kierowcy, żona na licznik.

Jeden samochód — stu wrogów.

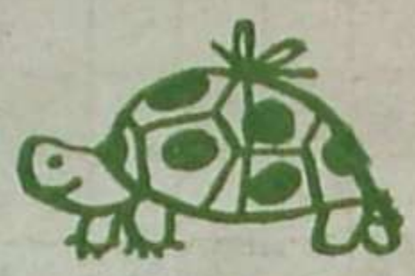

Można jechać prosto, siedząc krzywo — można i odwrotnie.

Gazuj nogą, nie przełykiem!

Brudas! Ale jaki przystojny!

Swiat jest szeroki! Cóż z tego, kiedy żona zabrała klucze od samochodu.

Gdyby każdy chciał mieć nowy samochód, stare stałyby puste.

Nie oglądaj się: tam gdzie pędzą przednie koła, tam i tylne.

Szerokiej drogi, do garażu!

Rys. A. Stok

minuta myślenia

# Przerabiam więc jestem

W SWYM świetnym felietonie Aleksander Małachowski zaprotestował przeciw ekranizacjom klasyki przekręcającym wymowę pierwowzorów. „Doktor Judym" to wcale nie „Ludzie bezdomni". Prawda, „oryginalność" reżyserów wyczynia harce i aż dziw bierze, że nie reaguje na to opinia artystyczna, skoro ta społeczna jest zdana na oburzenie po fakcie. Przecież do interwencji jest upoważniona nie tylko rodzina nieżyjącego autora, ale przede wszystkim jakaś komisja, która tak wynaturzone dzieło otrzymuje do oceny. Czy jeśli prawa autorskie wygasły, pozostaje tylko felieton jako wyraz zdrowego rozsądku?

Ale nie samo przekręcanie dzieł zwraca uwagę. Również ilość owych ekranizacji. Z pamięci: „Krzyżacy" „Pan Wołodyjowski", „Potop" „Dzieje grzechu", „Ludzie bezdomni", „Lalka", „Faraon", „Ziemia obiecana", „Wesele", „Noce i dnie", „Matka Joanna od Aniołów", „Popiół i diament", „Pamiątka z Celulozy" „Rzeczywistość", „Skąpani w ogniu", „Pokolenie", „Kolumbowie rocznik 20", „Sanatorium pod klepsydrą"... A jeszcze nie pamiętam filmowego tytułu „Trenu" Hena i „Bitwy pod Grunwaldem" Borowskiego. Wygląda na to, że każde znaczniejsze dzieło literackie musi zostać oprawione w ramki ekranu. No dobrze, ale kiedy spotka ten los jeszcze i „Mur pruski", „Lewanty", mamy się spodziewać, że na plan pójdą wiersze Tymoteusza Karpowicza i rozprawy krytyczne Tomasza Burka?

Maniera dziwaczna i niezrozumiała. Przecież o tyle została zmniejszona możność wykazania własnej inwencji filmowi polskiemu. Perypetie pana Michała znałem i przed dostarczeniem mi wizualnego ich obrazu, a nawet w wyobraźni lepiej mi się z nimi żyło niż za pośrednictwem zawsze pomniejszającego wielką literaturę wzrokowego przekazu, co więc za sens odbierać chleb dramaturgom i scenarzystom filmowym? Nieustannie słyszę, że sztuka współczesna jest w trakcie poszukiwań i że odbywa się walka o autonomię każdej dziedziny tworzenia artystycznego. Co zatem z filmem, który tak uparcie pasożytuje na literaturze? Czy jego odkrywczość ma się wyrażać tylko w ilustrowaniu, albo — co lepsze — w deformowaniu opracowywanych tekstów? Do czego mi są potrzebne drugie „Popioły", druga „Lalka"?

Czy zatem a kysz, kamero, od powieści? Bynajmniej. Ale nie można tworzyć zasady, że cokolwiek się zadomowiło w recepcji społecznej, dawaj na ekran. Przekład z języka literatury na język filmu może być ciekawy, ale wtedy, kiedy dane dzieło wyraźnie sugeruje fortunność takiego przedsięwzięcia, czy zaleca się jako powód do eksperymentu. Pamiętam jaką atrakcję wywołał przed wojną film (bodaj „Obrona Częstochowy") oparty na wybranych motywach „Potopu". To znaczyło skonfrontować z innymi swoją wyobraźnię. I jakkolwiek do owej realizacji z pewnością można by mieć podobne co dziś zastrzeżenia obraz zostawił wrażenie, a nie oburzenie. Dlaczego? Dlatego, że był jednym z nielicznych. Tak, zwykła arytmetyka. Dziś, kiedy ekran nagminnie zamazuje się bohomazami adaptacji sugerując, że farby pochodzą z palety wybitnego autora, nie mamy serca dla takich wernisaży, jesteśmy nimi napychani ponad miarę apetytu, a nawet wytrzymałości organów trawiennych.

To samo w teatrze. Ki diabli utarła się praktyka teatralizować beletrystykę, kiedy beletrystykę powinna otwierać okładka, a nie kurtyna. Czy — znów — za mało tekstów dramatycznych? Nie jestem fachmanem od zagadnień teatralnych — inni z pewnością podrzuciliby tu mnóstwo przykładów, ale nawet na mój dyletantyzm — niech tylko trafi na scenę wszystko, co trafiło do „Dialogu". W ogóle trafiło, nie koniecznie znalazło się w druku. Z pewnością ze sztuk, dla których nie wystarczyło miejsca na łamach, dałoby się ułożyć niezły repertuarzyk dla tego i owego teatru, po cóż więc brać na scenę „Trzech w linii prostej"? Chapeau bas, o literackim tekście ani słowa, ale znów to dublowanie. Dubler to persona grata, ale wtedy, kiedy pierwszy wykonawca zachorował na grypę, albo poszedł ją leczyć do teatralnego bufetu. I tak w polskiej rzeczywistości artystycznej trwa przerzutka z domeny w domenę. Co zostało dobrze napisane, musi być źle pokazane, pozostaje jeszcze próba z odtańczeniem, odśpiewaniem, by się skończyło na odgwizdaniu przez publiczność.

A dlaczego nie ma być na odwrót? Nie ograniczajmy eksperymentów. Jest dramat „Czekając na Godota", kropnąć opowiadanie a jeszcze lepiej powieść w odcinkach po cóż inspiracja ma się marnować w obrębie jednego gatunku? Każdy dramat możemy przetłumaczyć na poemat, poemat na rzeźbę, rzeźbę na skecz, skecz na kicz. Mówi się o potrzebie właściwej gospodarki materiałowej. Czy idea artystyczna nie zasługuje na miano cennego materiału?

A może by tu raczej o ubóstwie mówić? O anemii niektórych organizmów, które wymagają transfuzji krwi z organizmów innych? Coś mi to wygląda na „ciepło, ciepło". Oczywiście nijako do tej artystycznej białaczki się przyznać, więc się odwraca od niej uwagę szeregiem aktów gimnastycznych, nazywanych nowym odczytaniem, swobodą twórczą i indywidualnością reżysera. Nalać benzyny do baków, będzie z tego „Balladyna" o jakiej Słowackiemu się nie śniło. Wtedy buchalteria: nie podoba się raz, nie podoba się — dwanaście, nie podoba się — czterdzieści siedem. Sukces! Do tego stopnia zaszokowało się ograniczoną opinię mieszczańską. To potwierdza słuszność koncepcji. Teraz już nie ma mowy o odwrocie. Dalej. Ciągle dalej.

I tak dalej.

Ijon

# KOCI PAZUR

Ziemowit Samożyciek

(33)

— Na którym piętrze mieszkasz? — zapytał Michał, kiedy zatrzymali się przed wieżowcem.

— Na piątym. Ale nie bój się: mamy dwie windy, przynajmniej jedna powinna działać.

Czynna była jedna z niemiłosiernie brudnym wnętrzem.

— Nie możecie zadbać bardziej o czystość?

— Mnie pytasz? A co, ja mam dzieci? Szczeniaki jeżdżą w tę i z powrotem, wyścigi sobie robią — która winda prędzej dojedzie do końca. Rodzice są zadowoleni, że spokój w domu. Zresztą tutaj różne towarzystwo...

Mieszkanie Zośki składało się z dwóch pokoi i kuchni. Michał zdziwił się:

— Dostałaś takie duże na jedną osobę?

— Na jaką jedną? Jeszcze jest ciotka i wujek.

— Mieszkają z tobą?

— Coś ty głupi? Są na wsi, ale tutaj ich zameldowałam.

— Przecież to zwykły kant!

— Znalazł się porządny! Zaraz ci przygotuję tę obiecaną kawę.

Wyszła do kuchni i powróciła po chwili nieco skwaszona.

— Przepraszam cię, stary, ale z kawy nic nie będzie. Po prostu wyszła. Nie zauważyłam nawet, którędy. Strasznie dużo piję. Zrobić ci herbaty?

— Jeśli nie ma kawy... Ale niech będzie mocna.

— U mnie się innej nie przyrządza. Ale, wybacz, nie kupiłam jeszcze samowara. Chcesz po turecku?

— Wolałbym tradycyjną.

— Według życzenia. Pan każe...

— Nie wygłupiaj się!

Obok dwóch szklanek z herbatą Zośka postawiła dwa kieliszki.

— Zostało trochę koniaku. Wypij, bo za bardzo jesteś trzeźwy. Ja lubię być trochę na rauszu. Lepiej mi się rozmawia.

Zaciągnęła się dymem z papierosa.

— O której musisz być w domu? — zapytała.

— Co za pytanie?

— Normalne. Nie chciałabym, abyś z powodu mej skromnej osoby popadł w jakieś tarapaty. Żony mają tę wadę, że chcą mieć mężczyzn na własność.

— Widzę, że ktoś cię solidnie uświadomił.

— Żyje się na tym świecie, to i tamto ogląda. Taka pani Niska na przykład. Ty wiesz, jak ona jest cholernie zazdrosna o męża? Jakie z jego powodu potrafi robić awantury? Jak się wyraża? Podsłuchałam kiedyś. „Ty jesteś stara k., a ja jestem młoda pani" — tak się zwróciła do koleżanki męża. Jak ci się to podoba?

— Musiała być na dobrym gazie.

— Jak ktoś nie ma głowy, to niech nie pije. Ale ty jeszcze jesteś zupełnie trzeźwy — zauważyła. — Twoje zdrowie, chłopie!

— Ale tobie nie radzę już pić!

— Człowieku, ja jeszcze mogę opróżnić cysternę. Ma się tę szkołę! Nastawić radio?

— Jeśli chcesz...

— Chcę zatańczyć.

Rozległy się dźwięki starego tanga.

— Retro — powiedziała. — Im dalej, tym bardziej wracamy do przeszłości. Powiedz, co to takiego?

— Ramole przypominają sobie młode lata. Myślą, że jeśli coś jest retro, to oni też stają się podlotami i podlotkami.

— Podlotami i podlotkami. Ładnie to ująłeś. Ale ja i tak nie lubię mych rówieśników. Są potwornie nudni.

— A ile ty masz lat?

— Tyle, na ile wyglądam. Przytul mnie mocniej do siebie.

— Ale czy to radio nie gra za głośno? Przy naszych akustycznych mieszkaniach...

— A jak oni wygrywają do samego rana, to, myślisz, że mnie pytają o zdanie? Ja mam być lepsza? Po diabła? No, przytulasz mnie, czy nie?

— Szczerze mówiąc, to nie mam ochoty na taniec. Trochę jestem zmęczony po tym terenie.

— Przyznaj się lepiej, że kogoś w tym terenie poderwałeś. Ale, jak nie chcesz tańczyć, to łaski bez.

Ustadał na tapczanie i splotła dłonie na głowie.

— Słuchaj, czy ja ci się podobam?

— Zadajesz bardzo bezpośrednie pytania.

— Ale tak szczerze powiedz. Podobam ci się?

— Owszem.

— Mówisz bez entuzjazmu. A przecież jestem dość przystojna. Niekiedy patrzę, jak takie klempy, za które człowiek nie dałby pięciu groszy, mają po tuzinie adoratorów. Co oni w tej czy tamtej widzą? Nie mogę was, mężczyzn, zrozumieć.

— A ja ci się podobam?

— Gdybyś mi się nie podobał, to byś tutaj nie siedział. Zgaś światło. Nie chce mi się wstawać.

W pokoju zaległa ciemność. Zośka całym ciałem przywarła do Michała, gwałtownie zaczęła mu rozwiązywać krawat, sięgnęła ręką pod koszulę.

— Nie drap! — zawołał półgłosem.

— A właśnie, że podrapię.

— Zosia, przestań!

— Cicho!

Ktoś raptownie nacisnął dzwonek u drzwi. Trzy razy. Po chwili to się powtórzyło.

— Nie otwieraj!

— Cicho!

(cdn)